

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 7-go lutego 1942r.

Rok IV. Nr. 6

OSKARŻENIE NARODU

W pałacu św. Jakuba w Londynie zebrali się niedawno przedstawiciele dziewięciu krajów okupowanych, ażeby oskarżyć publicznie Rzeszę niemiecką o politykę ucisku i gwałtu i oznajmić przed światem, że winni zbrodni nie umkną wymiaru sprawiedliwości.

Niemal równocześnie pojawia się wydawnictwo Ministerstwa Informacji rządu polskiego, „German New Order in Poland”, zyskując od razu obszerne omówienia prasy brytyjskiej. Dobrze się stało, że wydawnictwo to pojawia się akurat w tej chwili, gdy brzmią jeszcze słowa oskarżenia z Pałacu św. Jakuba. Dobrze się stało, że czarna księga okrucieństw niemieckich popełnianych na ziemiach polskich zjawia się teraz właśnie: oskarżycielem głównym na naradzie dziewięciu państw była Polska, ona też podjęła inicjatywę zwołania zebrania sojuszników. Dobrze się wreszcie stało, że wydawnictwo naszego Min. Inf. nosi taki a nie inny tytuł: „German New Order” a nie „Nazi New Order” /książka pod tym drugim tytułem pojawiła się niedawno nakładem jednej z angielskich firm wydawniczych/.

Książki takiego typu, jak wydana świeżo rzecz Polskiego Min. Inf. są szczególnie potrzebne dla rynku angielskiego i amerykańskiego. Dalej bowiem wśród narodów anglosaskich snuje się wiele przesądów na temat Rzeszy, panuje wiele powątpiewania na temat okrucieństw popełnianych przez niemieckich siepaczy. Wynika to z faktu, że Anglosasi znają Rzeszę z nienajgorszej strony: oglądali oni uśmiechnięte oblicze Niemiec—winnice Nadrenii, wioski Bawarii, pasję w Oberammergau. Rzesza wiedziała jak ujmować sobie obcych, a szczególnie Anglosasów, na których opinii zależało im tak bardzo w okresie, gdy hitlerizm nabierał form i kształtów.

Świat anglosaski nie zdaje sobie sprawy, że są dwa oblicza Niemiec: jedno, cywilizowane—do czasu—dla Zachodu, drugie barbarzyńskie i prymitywne dla Wschodu Europy. Prawica oczywiście nie powinna wiedzieć co robi lewica: Zachód nie powinien wiedzieć o twarzy wschodniej Rzeszy. Niemcy ufają swojej propagandzie nie od dzisiaj—wiedzą, że jest sprawna, głośna, że działa masą, atakiem czołowym. Dlatego ufali—i ufają dalej—że Zachód nie będzie wierzył nadmiernie temu, co Wschód Europy podaje Zachodowi do wierzania.

Jest to niewątpliwy handicap Wschodu Europy, który nie zdołał sobie wyrobić na rynku propagandy tej marki i tego wzięcia co propaganda niemiecka, drażąca od lat. Tym większe spoczywają obowiązki na naszej propagandzie, ażeby dać świadectwo prawdzie w formie dla Anglosasów dostępnej, opanowanej, pozbawionej nadmiernej przesady, akcentowania niewłaściwych szczegółów. W tej właśnie robocie pohamowanie własnego temperamentu, narzucenie sobie pewnych wędzideł jest wskazane, ze względu na rynek, na jego specjalne upodobania, skłonności; w ograniczeniu, opanowaniu pokazuje się prawdziwy majster propagandy.

Albowiem rynek anglosaski jest właśnie bardzo osobliwym rynkiem. Natura angielska jest optymistyczna i pragnie widzieć w świecie rzeczy dodatnie, twórcze. Anglosasi obcy są nienawiści i dążą stale do stworzenia sobie możliwie spokojnego, opanowanego sądu. Ich namiętności mają o wiele

mniejsze wychylenia, aniżeli namiętności i pasje ludzi z kontynentu. Z tego powodu Anglik podejrzewa nader często człowieka z kontynentu o przesadę, jeżeli opowiada o dobrych czy złych rzeczach.

Wzbudzenie nienawiści w Angliki jest zadaniem nader trudnym: jeżeli jednak Anglik zostanie urażony w swoich podstawowych instynktach, reagować potrafi zimną furją. Rzecz jednak ciekawa, że ta zimna furia angielska nie trwa długo. Anglik, realista i empirysta, człowiek wnioskujący z doświadczenia, uważa, że nienawiść, zimna furia, są to rzeczy potrzebne, konieczne—ale zło konieczne. Dlatego, gdy tylko kończy się wojna, należy zarówno nienawiść, jak *cold fury* odłożyć do lamusa. Nie powinny one kierować naszymi uczynkami w dobie normalnego życia.

Tym należy tłumaczyć fakt, że po ostatniej wojnie fala niechęci do Niemiec opadła w Anglii nader szybko, że kampania pod hasłem „na latarnię z Kaizerem” nie zyskała pełnego uznania. Anglia była pierwszym krajem, który Niemcom podał rękę w myśl sportowej zasady, która każe zwycięskiemu zapaśnikowi uściskać dłoń pokonanemu a nawet pomóc mu zdźwignąć się z desek ringu.

Dla optymistycznej natury angielskiej nie do przyjęcia były pewne nowinki z Trzeciej Rzeszy. Anglik przymykał oczy na wieści o prześladowaniu Żydów, o tworzeniu szkół zwanych *Ordensburgami*, na teorii rasowej. Dla Anglika było bowiem rzeczą nie do pojęcia, ażeby naród niemiecki, leżący w sercu Europy i będący stacją rozdzielenia wielkich prądów kultury przez tyle wieków, by ten naród świadomie postanowił odwrócić łożysko dziejów i w nawrocie do barbarzyństwa i pierwotności upatrywać cel nowego tysiąclecia germańskiego.

Anglik jeszcze dzisiaj nie bardzo orientuje się w zagonach barbarzyństwa, jakie zalewa Europę.

Nie chce i dzisiaj jeszcze wierzyć, że sadyzm i okrucieństwo są po prostu przedmiotami obowiązkowymi wychowania niemieckiego, że Trzecia Rzesza walczy z chrześcijaństwem w sposób najgroźniejszy, albowiem stara się kościoty rozsądzić od wewnątrz. Anglik i dzisiaj jeszcze nie może pojąć osobliwej duszy niemieckiej, która znajduje rozkosz w znęcaniu się nad pokonanym i opanowaną jest szaleńcami władzy i panowania, za wszelką cenę. Anglik i dzisiaj jeszcze nie może pojąć, na czym opiera się nieprzejednana niemiecka wola władzy, dlaczego w mózgu niemieckim nie ma miejsca na ten wspaniały pomysł anglosaski: kompromis, który jest niczym innym jak wolą zrozumienia stanowiska drugiej strony, wolą znalezienia jakiegoś sposobu ludzkiego współżycia.

Powoli, nader powoli wsiąkają pewne prawdy w mózgi anglosaskie. Ale i dzisiaj jeszcze czyni się rozróżnienie między dobrymi Niemcami a złymi hitlerowcami, jeszcze dzisiaj toczą się spory na temat tego przedziału biegnącego przez Rzeszę, jeszcze dzisiaj odzywają się apele, ażeby nie dawać folgi nienawiści wobec wroga. Te wszystkie objawy, które drażnią nas i gniewają, albowiem znamy rozmiary naszych cierpień i znamy także wschodnią twarz Rzeszy—dowodzą jednak, że pokłady humanitaryzmu i chrześcijaństwa są w Anglii nader poważne i że kraj ten niechętnie wkracza na ścieżkę nienawiści.

Nie znaczy to bynajmniej, ażeby zaniedbać dzieła uświadamiania Anglii na temat Rzeszy. Przeciwnie, pracę tę należy prowadzić dalej, prowadzić rozsądnie, spokojnie, bez zniechęcania się i opuszczania rąk. Trzeba odsłonić przed Anglikami wschodnie oblicze Rzeszy, oblicze zarezerwowane dla narodów „niższego gatunku,” dla narodów, które nie potrafią się bronić odpowiednio skuteczną pro-

pagandą, których głos nie dochodzi tam, gdzie dochodzi głos Niemiec. Trzeba pokazywać, że charakter niemiecki cierpi na osobliwy brak równowagi, że pasje najbardziej ponurego zabarwienia wybuchają w tym charakterze zawsze wtedy, gdy się mu ktoś sprzeciwi, gdy nie może narzucić swojej woli, swojej władzy. Niemiec jest jednym z najmniej kulturalnych ludzi, jeżeli chodzi o świat pasji, namiętności. Czerwona mgła pada mu na oczy niebywale szybko. Dla usprawiedliwienia swoich apetytów, przeważnie niskich i zwierzęcych, potrafi zbudować nader przemysłny gmach subtelnej, naukowej doktryny. Jest to osobliwa obłuda natury niemieckiej, najbardziej może odrażająca cecha niemiecka.

Trzeba również starać się wdrożyć w mózgi angielskie pojęcie o zbiorowej odpowiedzialności narodu za pewne czyny. Dobrzy Niemcy mogą i istnieć, ale niestety, są oni albo bezsilni albo bez charakteru. Nie okazali dostatecznego hartu, ażeby zatrzymać powódź barbarzyństwa, przystosowali się zbyt szybko do nowego ładu wewnątrz własnego kraju. Zgodzili się na rządy opryszków, na rozpanoszenie się przekupstwa wszelakiego rodzaju, na łamanie prawa we wszelkie sposoby.

Naród oceniać jednak trzeba według jego systemu rządzenia, trzeba jednak takie czy inne rządy uważać za częściowy przynajmniej wyraz skłonności danego narodu. Hitler nie doszedł do władzy w drodze krwawego zamachu stanu, usunięcia od jednego zamachu swoich przeciwników, ale drogami wcale konstytucyjnymi. Rozłożył od wewnątrz niemieckie życie polityczne, zerwał na społeczeństwie niemieckim, które udzieliło mu olbrzymiego poparcia.

Dlatego przeciągnięcie linii między uczciwymi Niemcami a złymi hitlerowcami nie rozwiązuje sprawy—jest to zbyt proste, zbyt naiwne. Karę ponieść musi naród niemiecki, albowiem zbyt liczni

przedstawiciele tego narodu i to ze wszystkich klas i warstw—popieliali nadużycia, zbrodnie i gwałty. Odpowiedzialność musi być zbiorowa, wina spada na tych wszystkich, którzy zbrodnie popieliali i zbrodnie te przemilczali czy—co gorzej—ze zbrodni tych korzystali.

Trzeba też wytłomaczyć narodowi angielskiemu, że nienawiść nie jest czymś wynaturzonym czy zboczoną, ale że jest uczuciem w pełni uprawnionym—odruchem każdej zdrowej natury, zagrożonej przez barbarzyństwo, przez siły zła, siły, które chcą zniszczyć kulturę, chcą wytrzebić poczucie ludzkiej godności. Trzeba by zwatpić w narody ujarzmione Europy, gdyby narody te lasy się do Niemców. Trzeba by położyć krzyż na Europie, jeżeli by narody podbite zaczęły dopatrywać się w swej poniewierce oznak lepszego bytu, gdyby zgodziły się biernie na niewolnictwo, jakie Rzesza im chce narzucić. Nienawiść jest zatem wyrazem woli życia, wyrazem hartu i tężyzny—brak tej nienawiści byłby dowodem żupelnego spodlenia i braku sił Europy.

To wszystko trzeba tłumaczyć spokojnie i beznamietnie ogółowi anglosaskiemu. Tłumaczyć dzisiaj i jutro, w dobie walki i zbrojnego starcia, jak i potem—w okresie, kiedy opadnie loskot walki. Nie możemy ani na chwilę zapominać o tej osobliwej skłonności brytyjskiej, która polega na szybkim zapomnianiu o uczuciach tzw. ujemnych, która szuka wszędzie rzeczy realnych, optymistycznych, pragnie kompromisu dla wszystkich i wszystkich. Okres powojenny będzie tu równie ważny, jeżeli nie ważniejszy, niż dzisiejsza doba zbrojna.

„Czarna księga” wydana przez Min. Inf. rządu polskiego będzie ważną pomocą w tym względzie. Daje ona bowiem katalog obszerny i sumiennie zestawiony. Jest oskarżeniem krzyczącym, oskarżeniem nie partii hitlerowskiej, ale przedstawicieli narodu, przedstawicieli wszystkich warstw narodu niemieckiego.

Trzeba powiedzieć Anglikom jasno i otwarcie jeszcze jedno: że nie jesteśmy bynajmniej fatalistami, że bynajmniej nie twierzymy, że z narodem niemieckim pożycie jakie takie jest niemożliwe, że pokój z tym narodem to tylko wstęp do nowej wojny. Owszem, pragniemy widzieć nowe Niemcy, ale zdajemy sobie sprawę, jak niebywale ciężki i trudny będzie to zabieg. Zdajemy sobie sprawę jak głębokie korzenie zapaściła nienawiść, sadyzm i okrucieństwo w młodych duszach niemieckich.

Nie jesteśmy przeciwni re- edukacji Rzeszy, wychowania Rzeszy na uczciwego obywatela Europy, ale nie możemy ulegać złudzeniom. Musimy domagać się gwarancji bezpieczeństwa dla Europy i dla nas jako, że jest to sprawa nierozłączna ze sobą związana. Musimy także domagać się, ażeby rozbrojenie Rzeszy było zupełne, ażeby pogotowie państw otaczających było czujne i ażeby przez pewien przeciąg lat Rzesza pozostawała pod nadzorem Europy.

To wszystko trzeba tłumaczyć, znowu bez nadmiernego patosu i przesady—jak prawdy proste, oczywiste, realne, beznamietne. Wtedy dopiero robota pierwsza otrzyma właściwe dopełnienie i osiągnie swój cel—albowiem nie wystarczy pokazać zniszczenie: trzeba pokazać także odbudowę.

rys. Zdzisław Borysowicz



Polakom w Rosji

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Franklin Delano Roosevelt



I

Polska była pierwszym krajem, który przyjął walkę, Stany Zjednoczone uczyniły to obecnie...

Pamiętajcie Polacy, że z wojny tej wyjdziemy wolni z woli Boga i z możliwością prowadzenia w dobrobycie życia uczciwego i zdrowego.

(z orędzia prezydenta Roosevelta do Polaków pod tytułem "Prezydent wie.")

Franklin Delano Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych skończył dnia 29 stycznia lat 60. W wilię tego dnia wydał orędzie do Polaków, będące jednym z najpiękniejszych dokumentów ludzkości. Jest więc podwójna okazja, by przyjrzeć się bliżej temu człowiekowi, będącemu niewątpliwie nie tylko największym z żyjących mężów stanu, ale jednym z największych na przestrzeni wieków, by spróbować sobie zdać sprawę z tego, kim jest Franklin Roosevelt i co reprezentuje.

Roosevelt jest z pochodzenia arystokratą. Coprawda prasa Goebbelsa i Mussoliniego stale nazywa go Rosenfeldem i tłumaczy jego rzekomo żydowskim pochodzeniem tę chłodną, nieubłaganą nienawiść, jaką Roosevelt zawsze żywił do totalizmu i do jego wodzów, ale to nie zmienia faktu. Roosevelt jest z pochodzenia arystokratą. Oczywiście arystokratą amerykańskim, a w Ameryce pojęcie arystokracji jest cokolwiek odmiennie od

pojęcia kontynentalnego. Arystokratami w pojęciu amerykańskim są bowiem potomkowie pierwszych kolonistów, rodziny najdawniej w Ameryce osiadłe, bez względu na to, czy ten pierwszy imigrant należał w Europie do szlachty, czy też był skromnym kupcem lub rzemieślnikiem (w praktyce ci pierwsi imigranci z XVII wieku byli raczej tego drugiego pokroju.)

Do arystokracji amerykańskiej należą więc te rodziny bostońskie, które pochodzą od pierwszej emigracji purytańskiej, przyczem najwyższym szczęściem jest móc się wylegitymować pochodzeniem od jednego z pasażerów "Mayflower," pierwszego statku, na którym purytanie opuścili Anglię, prześladowaną ich wiarę; arystokratami są potomkowie najdawniejszych plantatorów Wirginii (należał do nich Jerzy Waszyngton); arystokratami są wreszcie potomkowie rodzin holenderskich, osiadłych w dzisiejszym Nowym Jorku, w czasach, gdy nazywał on się jeszcze Nowym Amsterdamem i był kolonią holenderską.

Do tych ostatnich rodzin należy i rodzina Rooseveltów.

Na przełomie wieku XIX i XX i na początku wieku XX jeden z Rooseveltów odegrał w Stanach olbrzymią rolę: krewny Franklina, Teodor Roosevelt. Była to postać romantyczna, można by nawet powiedzieć awanturnicza. Lubiał polować na lwy w Afryce, lubił wszelką walkę. I gdy wybuchło powstanie na Kubie Teodor Roosevelt zorganizował pułk kawalerii i pojechał walczyć z Hiszpanami. W tym samym zaś czasie w armii hiszpańskiej walczył młody Anglik, równie żądny przygód, któremu zdruzgotało życie garnizonowe i który jako solidny konserwatysta oczywiście walczył mógł jedynie w armii rządu legalnego. Nazywał się ten młody oficer angielski—Winston Churchill.

Kawalerzysta Roosevelt był niezwykle popularny i przy

najbliższych wyborach prezydenckich partia republikańska, pragnąc tę jego popularność wyzyskać, postawiła jego kandydaturę na wiceprezydenta Stanów. Gdy zaś prezydent MacKinley zginął od kuli anarchisty Teodor Roosevelt automatycznie został prezydentem a wkrótce potem został wybrany na prezydenta na następne czterolecie.

Okazał się jednak dla swoich wyborców bardzo niewygodnym prezydentem. Zaczął bowiem walkę z trustami. Udało mu się nawet przeforsować ustawę anty-trustową. Gdy zaczął jednak walczyć z plutokracją amerykańską w ogóle, gdy zaczął myśleć o reformach społecznych—to było tego już za wiele; przy wyborach 1908 roku partia wyraźnie powiedziała Rooseveltowi, że krótki okres w którym zastępował MacKinleya należy uważać za prezydenturę i że wobec tego, zgodnie z niezmienną tradycją amerykańską, trzeci raz już kandydować nie może. Prezydentem został Taft.

Roosevelt jednak nie dał za wygraną. W wyborach 1912 roku postawił swą kandydaturę na prezydenta. Oczywiście nie z ramienia republikanów — maszyna republikańska, oprowadzana przez big business była by na to nie pozwoliła. Nie z ramienia demokratów — maszyna demokratyczna go nie chciała, bo musiała mieć swojego człowieka. Roosevelt stworzył więc nową partię — partię postępową, domagającą się reform społecznych, które w Europie wydawały się bardzo skromne, które zresztą należały w większości do dawno tutaj zrealizowanych, ale które w Ameryce wydawały się rewolucyjne.

Nie zwyciężył. Jego popularność osobista była jednak tak wielka, że otrzymał 4,126,020 głosów, podczas gdy kandydat republikanów, ustępujący prezydent Taft otrzymał jedynie 3,483,922. Prezydentem zaś, dzięki temu rozbięciu głosów, został kandydat demo-

kratów, profesor Woodrow Wilson. A w gabinecie Wilsona znalazł się, jako wiceminister marynarki, młody krewniak Teodora Roosevelta, Franklin Delano Roosevelt.

Zatrzymałem się na historii Teodora Roosevelta, albowiem znajdujemy w niej elementy, które niewątpliwie odegrały rolę w życiu Franklina. To samo poczucie społeczne które miał Teodor będzie miał i Franklin. Tylko, kiedy u Teodora niechęć do rabunkowej gospodarki wielkiego kapitału i współczucie z dolą upośledzonych były instynktowne i plany poprawy nieprzemysłane, Franklin do tych samych zagadnień przystąpił później z niemięcej gorącym sercem, ale jednocześnie i z rozumowym przygotowaniem.

Bankructwo zaś trzeciej partii Teodora, mimo to, że był on w roku 1912 niewątpliwie najpopularniejszym człowiekiem w Stanach, nauczyło Franklina, że maszynieria partyjną pogardzać nie można. Że należy dążyć do tego, by się nią posługiwać, a nie dać się jej opanować.

Jako wiceminister marynarki Franklin Roosevelt podczas Wielkiej Wojny odegrał rolę niezmiernie pożyteczną ale mało błyskotliwą. Wkrótce zaś potem spotkało go nieszczęście, które mogło raz na zawsze zakończyć jego karierę polityczną. Po powrocie z długiej kąpieli morskiej został porażony najstraszniejszą formą paraliżu: nieublaganym paraliżem dziecięcym. Nastąpiły długie lata leczenia i walk o zdrowie. Jednak sparaliżowany Roosevelt nie odszedł od życia publicznego. Nie było go w rządzie, gdyż po Wielkiej Wojnie przyszedł do władzy z powrotem republikanie. Rządy ich wobec niebawomego wzrostu dobrobytu, który prezydenci republikańscy przypisywali skromnie sobie i swej partii, (swoim zasadom dania pełnej wolności "indywidualizmowi amerykańskiemu" czyli

nie tylko kapitalowi produkcyjnemu ale i najdzikszej orgii spekulacyjnej), zdawały się zapewnione na bardzo długo. Jednak Rooseveltowi udało się uzyskać wybór na jedno z kluczowych stanowisk w Ameryce: został gubernatorem stanu Nowy York.

W roku 1929 prosperity amerykańska nagle się skończyła. We wrześniu zaczęły się załamywać kursy giełdowe. Następowy później poprawy, ale tendencja była jednak zasadniczo zniżkowa. Wreszcie we wtorek dnia 24 października przyszedł krach. Blisko 13,000,000 akcji sprzedano tego dnia na giełdzie nowojorskiej, każdy pakiet po cenie niższej od poprzedniego. Ceny akcji spadły przeciętnie do połowy.

Zaczęły się czasy kryzysowe, ta straszna depresja, która po Stanach ogarnęła Europę, z której Stany na gwałt zaczęły wyciągać pożyczone pieniądze. Trzy miliony robotników straciły pracę w krótkim czasie. Prezydent Hoover i partia republikańska mówili, że to chwilowy, przejściowy kryzys. Kryzys jednak trwał i zaczął obejmować coraz szersze kręgi. Liczba bezrobotnych ciągle wzrastała, bankrutowały przedsiębiorstwa i banki. Średnia klasa amerykańska wskutek spadku akcji utraciła wszystkie swe oszczędności i proletaryzowała się. Rolnicy nie mogli sprzedać swych produktów. A prezydent Hoover ciągle zapewniał, że to jest tylko przejściowe, że rząd nie powinien się do tego mieszać, że normalny rozwój gospodarki znowu przywróci "prosperity."

Cóż więc dziwnego, że gdy przyszedł wybory w roku 1932 naród amerykański zrzucił odpowiedzialność za swą katastrofę na tych, którzy przedtem dumnie oświadczyli, że ich zasługą jest "prosperity." Cóż dziwnego, że odwrócił się od tych, którzy żadnej pomocy dać mu nie chcieli i oddał swe głosy kandydatowi demokratycznemu. Był to uczynił, ktokolwiek był tym kandydatem. A tak się złożyło właśnie, że kandydatem demokratycznym został wybrany, znany w Nowym Yorku ze swej walki z korupcją, ale poza tym niczem się specjalnie nie wyróżniający, młody względnie jeszcze — Franklin Delano Roosevelt.

CZESŁAW POZNAŃSKI

Z końcem bieżącego miesiąca wyjdzie z druku nakładem "Co Słysać" SŁOWNIK TECHNICZNY angielsko-polski i polsko-angielski. Słownik obejmuje około 3.000 słów na około 120 stronach formatu kieszonkowego w mocnej sztywnej okładce. Słownik zawiera przede wszystkim wyrażenia samochodowe i czołgowe. Druk firmy Oliver & Boyd w Edynburgu. Cena 4/6 Do nabycia: w kioskach i księgarniach polskich oraz wprost w administracji "Co Słysać," 15, Allan Street, Blairgowrie, Perthshire.

Roosevelt do Narodu Polskiego

Orędzie Prezydenta Stanów Zjednoczonych do narodu polskiego, będące aktem politycznym i moralnym o wielkim ciężarze gatunkowym, ma w tej chwili trojakie znaczenie.

Wzmacnia, wielokrotnie woli uporczywej i bohaterkiej walki kraju z okupantem. Dla podtrzymania ducha walki, napięcia woli i wysiłku trwania manifest Roosevelta jest pomocą bezcenna. Nie ma słów dość silnych, by wypuklić wagę wystąpienia Roosevelta w tej mierze. Daje ono krajowi najoczniejszy i najbardziej autorytatywny dowód, że jego cierpienia bezmierne, że jego codzienna, heroiczna walka nie tylko nie idą na marne, ale, że docierają do świadomości opinii publicznej całego świata cywilizowanego, która sobie uświadamia, że jest to najważniejsza, podstawowa, zasadnicza forma protestu narodu polskiego przeciwko okupantowi.

Poprzez oświadczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych kraj przeżywa, odczuwa i doceni ogrom własnego wkładu w wojnę. Ujrzy nie tylko sens i celowość ofiary najlepszych swych synów, ale także odczuje, że to jego walka przede wszystkim, walka solidarna i jednolita, stwarzająca takie napięcie i ton moralny, że usuwa i uchyla możliwość polskich Quislingów—toruje i wykuwa lepszą przyszłość Polsce. Ci wszyscy, do których dotrą w Polsce słowa Roosevelta—ci nędzni wysiedleńcy z ziem zachodnich, ci wydawcy prasy tajnej, te kurierki i kolporterki druków nielegalnych, ci chłopcy i robotnicy gnani na roboty przymusowe, ci zagłodzeni i zaszczuci inteligenci—dla nich wszystkich słowa Roosevelta będą nie tylko

uznaniem i zrozumieniem jakże głębokim ich ofiarnictwa, ale w jeszcze większym stopniu staną się one elementem napinającym na nowo ich wole walki, trwania i przetrwania.

Wojna obecna przyniosła szaloną dewaluację słowa mówionego i pisanego. To fakt, z którym trzeba się liczyć. Świat stał się nieufny i podejrzliwy wobec tylokrotnie zdeprecjonowanych słów dyplomatów. Ale mimo to a może wbrew temu, z tym większą uwagą słucha słów ludzi o wielkiej powadze moralnej,—ludzi, którzy mając instynkt urodzonych przywódców, nie schodzą z gruntu ustroju demokratycznego. Świat słucha z napięciem Churchilla i Roosevelta.

Tym bardziej Polska, dla której wszystkie nadzieje wiążą się ze zwycięstwem demokracji anglosaskich, jak najpilniej przysłuchuje się słowom ich wielkich przywódców. Wiemy z prasy tajnej, że przemówienie Churchilla w dniu 3-go maja było wydarzeniem, które zelektryzowało Warszawę. Wiemy, że prasa tajna z błyskawiczną szybkością — a ileż wyrzeczzeń i ofiarności ludzkiej musi się na to złożyć — starała się jak najszybciej rozpoznać apel Churchilla.

Wiedząc o tym, jesteśmy głęboko przekonani i pewni, że szlachetne orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych, wypowiedziane w chwili kiedy Ameryce nie brak własnych, jakże ciężkich trosk, zostanie należycie ocenione, odczute i zrozumiane w kraju. Cały naród polski pamięta dobrze, czym było dla jego politycznej przyszłości w czasie tamtej wojny wystąpienie prezydenta Wilsona. Dla

tego też doskonale rozumie, że słowa prezydenta Roosevelta— "Stany Zjednoczone przyrzekają, że użyją wszystkich swych sił, aby zniszczyć najeźdźcę i odbudować Polskę"—są nie tylko apelem moralisty, odruchem oburzenia wobec gwałtów hitlerowskich, ale że są aktem polityka wiążącym na przyszłość. Słowa Roosevelta skrzepią wole walki Warszawy, dotrą na wieś polską, gdzie liczni reemigranci w lot wyczują ich wielką wagę gatunkową.

Gdyby więc orędzie Roosevelta miało ten tylko jeden skutek, że dając satysfakcję moralną walce kraju, uznając przed światem celowość, konieczność i skuteczność tej walki, wzmogłoby jego wole odporu, byłby to już wystarczający powód dla naszej głębokiej wdzięczności wobec przywódcy amerykańskiej demokracji. Ale znacznie oświadczenia Roosevelta sięga dalej. Ma ono swój walor międzynarodowy. Stwierdzając, że "wartości wkładu Polski do wojny przeciw osi jest bezcenna," przypominając, że "wojsko polskie wzrasta i odbudowuje się z taką szybkością, że jego walczące oddziały są poważnym czynnikiem w wojnie przeciw państwom osi" Roosevelt podkreślił i wypuklił, że w obrębie 26 państw walczących z osią Polse przypada miejsce szczególnie znaczące.

Jest teraz rzeczą naszej dyplomacji i propagandy, by oświadczeniu temu nie tylko nadać najszerzy wydźwięk, ale żeby go umiejętnie politycznie wyzyskać. Oceniając sam fakt tego orędzia jako duży sukces nasz w tej chwili nie sposób nie zauważyć, że rezonans tego oświadczenia jak dotąd w prasie angielskiej jest zbyt nikły. Można się jednak spodzie-

wać, że najbliższe dni przyniosą pożądaną korekturę, że orędzie dotrze nie tylko na łamy "France," ale co znacznie ważniejsze "Times'a." Przepuszczając wolno, że zostało odpowiednio rozpowiechione w prasie amerykańskiej.

Wszędzie gdzie dotrze, podniesie prestiż Polski, pokaże — że wbrew ludzającym pozorom — najbardziej zmaterializowana demokracja świata przez usta swego wodza najlepiej potrafiła odczuć i zrozumieć bezkompromisowość postawy narodu, który nieraz zbyt łatwo oskarżany jest o nierozumny romantyzm polityczny. Postawa polskiej walki nieprzejednanej znalazła w Roosevelcie człowieka, który umiał dojrzeć nie tylko bohatera jej patos, ale polityczną celowość.

Orędzie Roosevelta, podnoszące tak wysoko w oczach świata wysiłek kraju, walkę polskiego żołnierza, manifestujące nie tylko współczucie ale i współsolidarność amerykańskiej demokracji, — powinno wreszcie przynieść owoce i w innej jeszcze sferze. Powinno ono — i to jest trzecie jego znaczenie — odegrać rolę czynnika pobudzającego wobec Polonii Amerykańskiej. Słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych powinny jej chyba najoczywiście i najdowodniej ukazać czego oczekuje po niej nie tylko Polska, ale także czego oczekują Stany Zjednoczone. Słowa Roosevelta winny być dla niej tym ostatnim przysłówiowym dzwonkiem alarmowym, że czas najwyższy na pełne wzmoczenie i przyspieszenie jej działań nie tylko w sensie ofiarności materialnej, ale także czynniejszego udziału w walce zbrojnej. Od postawy Polonii Amerykańskiej w tej chwili zawisł bowiem nie tylko zasięg i rozmiar jej roli w życiu nowej

Polski, ale także stopień jej wpływu w życiu Ameryki powojennej.

To są perspektywy, jakie otwiera orędzie Roosevelta w skali wojennej. Schodząc na teren ciśniejszy, naszych stosunków wewnętrznych i naszej orientacji zagranicznej orędzie Roosevelta do narodu polskiego winno nam przed oczy postawić inną prawdę. Gdy Niemcy mówią o wymazaniu z karty Europy na zawsze państwa polskiego, gdy uderzają w same najistotniejsze ośrodki polskości, podcinając podstawy bytu narodu, gdy Włochy przez usta Mussoliniego uznają sprawę polską za przekreśloną, gdy Hiszpania Franco usuwa reprezentację państwa polskiego, a żołnierzy polskich skazuje na obozy koncentracyjne — w takiej chwili prezydent Stanów Zjednoczonych deklaruje, "że demokracja musi przywrócić Polsce wolność."

To powinno być dla nas wszystkich zachętą do nie tylko formalnego, ale jak najpełniejszego ideowo związania z światem demokracji. Związania tak całkowitego, by próbować nie tylko część, ale całość jego urządzeń i instytucji publiczno-państwowych. Ta prawda winna szczególnie jasno stanąć przed tymi wśród nas, którzy w przeszłości mieli mniej lub więcej uświadomione sympatie dla ustrojów totalnych.

Dla większości bowiem narodu polskiego, dla jego masy chłopskiej, robotniczej i pracującej inteligencji, dążenia świata demokracji zachodnich od dawna były ich własnymi dążeniami. Te masy polskie w kraju i w Rosji przyjmą też dziś z zadowoleniem i radością słowa otuchy i nadziei, jakie przynosi im orędzie wielkiego wychowawcy amerykańskiej demokracji.

EDWARD ŻYWON

ŻOŁNIERZ I MAŻ STANU

Mój trzeci wykład* ma za temat stosunek generała, względnie dowódcę wojskami, do czynników nadrzędnych, jakimi są zazwyczaj ministrowie, mężowie stanu.

Temat to nietatwy i nadający się w najwyższym stopniu do dyskusji. Jak wiecie dobrze, stosunki dowódców z mężami stanu nie układały się zbyt szczęśliwie podczas ostatniej wojny. Politycy oskarżali wojskowych o ciasnotę umysłu i zbyt pedantyczne, zawodowe poglądy, podczas gdy wojskowi byli skłonni przypisywać niejedną trudność "wtrącaniu się" polityków do prowadzenia wojny.

Ten zatarg pomiędzy czynnikami cywilnymi i wojskowymi jest względnie nowym elementem w historii, jest wynikiem ustroju demokratycznego a nie autokracji. W dawnych czasach niewielka była różnica pomiędzy wojskowym a mężem stanu, byli oni przeważnie łatwo pomiędzy sobą wymienni.

Z historii klasycznej Grecji przypominacie sobie zapewne wypadek Kleona i Nikiasa, podczas wojny peloponeskiej pomiędzy Spartą a Atenami. Demagog Kleon, przywódca opozycji, krytykował konserwatywnego Nikiasa. Ten ostatni postanowiwszy wykończyć przeciwnika wezwał go do stancji na czele wojska i dowodzenia operacjami. "Weź zatem dowództwo sam, a zobaczysz, czy potrafisz dowodzić lepiej ode mnie." Z wielką szkodą dla samego Nikiasa, i jak się potem okazało ze szkodą dla interesów ateńskich, Kleon przyjął wyzwanie, i udało mu się, przy wielkiej dozie szczęścia, odnieść świetne zwycięstwo.

W starożytnym Rzymie koniecznym warunkiem dowodzenia w polu było przejście przez wszystkie szczeble magistratury hierarchii cywilnej państwa. Generalowie, gdy było na nich zapotrzebowanie, byli wybierani z pomiędzy najwybitniejszych urzędników cywilnych. Przypominacie sobie może, jak opisuje Macaulay ojców miasta Rzymu, którzy w niebezpieczeństwie wybierają dyktatora "na sześć miesięcy, ale nie więcej." Byłoby może lepiej, gdyby ten obyczaj obierania dyktatora tylko na sześć miesięcy utrzymał się i teraz u nas w Europie.

Historia Hannibala daje nam pierwszy, uderzający przykład zniszczenia doniosłych planów wojskowych przez niedbalstwo polityków tej jednej z najwcześniejszych demokracji, jaką była Kartagina.

Przez liczne wieki władcy państw dowodzili sami swymi wojskami w polu, Aleksander Macedoński, królowie angielscy, Gustaw Adolf i t.d., i nie było, rzecz prosta, ingerencji cywilnej w sprawy wojskowe.

Marlborough był w dosyć szczególnej sytuacji. Był on nie tylko naczelnym wodzem, ale i faktycznie ministrem spraw zagranicznych; kierował polityką państwa ze swojej kwatery. U szczytu swojej kariery skupiał w swym ręku całą władzę i spełniał rolę premiera. Ale tym nie mniej, rzadko spotkać można wodza, którego plany byłyby tak często niewiadczone przez ustawiczne mieszanie się do nich holenderskich polityków oraz przez rywalizację i zawiści we własnym obozie. Znosił on to wszystko z pogodą ducha. Pomimo wszystkich przywar był to wielki człowiek i bezsprzecznie nasz największy geniusz wojskowy.

General-polityk jest czymś absolutnie niedopuszczalnym w brytyjskiej tradycji wojskowej, aczkolwiek większość naszych dowódców posiada pewne doświadczenie polityczne.

Cromwell był przez wiele lat członkiem parlamentu, zanim zabrał się do rzemiosła wojskowego. Marlborough, o którym tylko co wspominałem, miał nierównie więcej doświadczenia w intryguach politycznych, niż w dowodzeniu wojskiem, kiedy rozpoczynał swoją karierę jako generał. Wellington był członkiem obu parlamentów: angielskiego i irlandzkiego. John Moore, Craufurd, Graham, zwycięzca z pod Barossy, który po raz

pierwszy zabrał się do spraw wojskowych w wieku lat 44—wszyscy wymienieni byli posłami do parlamentu.

Wiemy również, że podczas wojen prowadzonych przez francuski rząd rewolucyjny, komisarze polityczni ustawicznie utrudniali zadanie generałom, dopóki Napoleon nie zaprowadził porządku, ogłaszając się dyktatorem—nie na sześć miesięcy, ale aż do "ukończenia wojny."

Jeszcze jeden przykład, na który chciałbym zwrócić waszą uwagę, zaczerpnięty z amerykańskiej wojny cywilnej. Stosunki wielkiego męża stanu Lincolna z generalami są pouczające. Po wielu próbach udało mu się znaleźć jednego z nich, do którego miał zaufanie i pozostawiał mu całkowitą swobodę. Pozwolił sobie odczytać wam wyjątek z listu Lincolna do generała Hookera.

"Postawiłem Pana na czele armii Potomac. Oczywiście miałem do tego wystarczające w moim mniemaniu powody, ale sądzę, że będzie lepiej, aby Pan wiedział, że pod niektórymi względami nie jestem z Pana zupełnie zadowolony. Jest Pan, jak sądzę, odważnym i znającym swój zawód żołnierzem, co bardzo sobie cenię. Wierzę, że nie miesza się pan w niczym do polityki, co uznaję za słuszne. Ma Pan pewność siebie, co jest bardzo cenną, o ile nie niedozwoloną zaletą. Jest Pan ambitny, co w granicach rozsądnych jest raczej zaletą niż wadą. Ale, o ile mi wiadomo podczas gdy generał Burnside dowodził, zbyt się Pan powdował ambicją własną i znaczną przez to szkodę wyrządził Pan krajowi oraz godnemu koledze-dowodcy. Słyszałem z dobrego źródła, że wyrażał Pan przekonanie, że rząd i armia potrzebują dyktatora.

Oczywiście to nie dlatego, ale wbrew temu wszystkiemu, powierzyłem Panu dowództwo. Tylko zwycięscy generałowie mogą sięgać po dyktaturę. Żądam od Pana wojskowych powodzeń, a wtedy zgodzę się może zaryzykować dyktaturę. Rząd będzie Panu we wszystkim pomagał w granicach jego możliwości, ale ani więcej ani mniej, niż innym generałom dowodzącym armiami.

Ala obawiam się bardzo, że ten duch krytyki i braku zaufania do dowódców, który Pan tolerował, a nawet sam wprowadził do szeregów armii, obróci się teraz przeciwko Panu. Będę czynił wszystko co w mojej mocy, aby Panu pomóc w wypełnieniu tego zła. Ani Pan, ani nawet sam Napoleon, gdyby jeszcze żył, nie byłiby w stanie nic uczynić z wojskiem o takim nastawieniu do dowódcy."

Czy nie macie wrażenia, że tylko wielkiego męża stanu było stać na napisanie tego listu. Ale Lincoln nie znalazł w generale Hooker takiego generała, jakiego sobie życzył. Wybrał wreszcie na naczelnego wodza generała Grant'a. I zawsze zachował do niego całkowite zaufanie, pomimo, że Grant poniósł niejedną klęskę. Skoro usłyszał zarzut, że Grant jest pijakiem, zapytał o gatunek whisky ulubionej przez niego, aby "móc posłać skrzynkę takiej samej whisky innym generałom."

Przypomina to odpowiedź jaką dał Jerzy II jednemu ze swych ministrów, który o generale Wolfe,

1/ Abraham Lincoln, Prezydent Stanów Zjednoczonych podczas Wojny Cywilnej /1861-1865/, był jej głównym leaderem i bohaterem /po stronie Stanów Północnych/, po Waszyngtonie, największy aż do Franklina Roosevelta, amerykański mąż stanu. Zginął zamordowany przez fanatycznego przeciwnika.

zdobycy Quebec, wyrażał się jako o szaleńcu: "Na Boga, jakże chciałbym, aby ugryzł niejednego z innych moich generałów."

Podczas kampanii 1870 cesarz Wilhelm I i jego kanclerz Bismarck towarzyszyli Kwaterze Głównej Moltkego i wszystkie kwestie polityczne były od razu na miejscu rozpatrywane. Były poważne różnice zdań pomiędzy Bismarckiem a Moltkem w sprawie bombardowania Paryża, zatarg został rozstrzygnięty na miejscu przez cesarza.

A teraz przejdziemy do Wielkiej Wojny. Nie mogę wchodzić w szczegóły niezliczonych błędów popełnionych przez wojskowych i polityków podczas tej długiej walki. Nie tylko jednak my je popełnialiśmy. Być może, że Niemcy przegrali tę wojnę z powodu wprowadzenia pod naciskiem wojskowych bezwzględnej wojny lodziami podwodnymi, bez względu na banderę, co spowodowało wypowiedze-



General Wavell

rys Jan Rościszewski (Tom Titt)

nie wojny przez Amerykę. Jakże taktownie i rozważnie prowadził politykę blokady nasz minister sir Grey, nie chcąc w żadnym wypadku narazić się Ameryce, a postępował tak nieraz wbrew naleganiom naszych wojskowych z Admiralicji.

Największe spory trwały jednak między Lloyd George'm i sir Robertsonem, którzy, jak to powszechnie jest wiadome byli bezmała stale przeciwnego zdania. Wielka to jest szkoda, że Robertson nie okazał się bardziej pojednawczy, a Lloyd George mniej uparty. Robertson niepotrzebnie traktował strategiczne pomysły premiera z grzeczną wyrozumiałością, zamiast wytłumaczyć mu na czym polegała fałszywość ich założeń. A Lloyd George nie mylił się w swoich pomysłach strategicznych, które były przeważnie doskonałe, ale nie posiadał dostatecznej znajomości mechanizmu wojny; np. jak wiele czasu potrzeba dla przewiezienia wojsk, jaki jest wpływ klimatu, geografii i t.d.

I tak wpadł on na pomysł "wypożyczenia" wojsk z frontu zachodniego w okresie zimowym, kiedy poważniejsze operacje nie

2/ Gen. Sir William Robertson szef Kwaterzy Głównej brytyjskiej podczas Wielkiej Wojny. Jedyna w swoim rodzaju kariera znana w armii brytyjskiej. Wstąpił do wojska jako prosty szeregowiec, po 10 latach dopiero został oficerem, potem przez Wyższą Szkołę Wojenną doszedł do najwyższego, po naczelnym wodzu, stanowiska w armii. Odznaczył się podczas wojny burskiej.

mogły mieć miejsca, w celu przewiezienia ich do Palestyny przeciwko Turkom, aby po wykorzystaniu na tamtym terenie odesłać je na wiosnę z powrotem do Francji. Nie zdawał on sobie sprawy z trudności przewiezienia jednej lub dwóch dywizji z Francji do Palestyny. Nasze linie komunikacyjne z Palestyną wymagałyby w tym celu całkowitego przebudowania, co zajęło by kilka miesięcy czasu, zanim wojsko weszłoby tam do akcji. Zresztą pomimo położenia Palestyny, klimat jej w czasie zimy, jest prawie tak samo nieprzychylny dla prowadzenia operacji jak klimat francuski.

Podobnie rzecz się miała z jego pomysłem obejścia stalowego muru frontu zachodniego przez operacje we Włoszech i Serbii. Myśl obejścia flankowego była sama w sobie dobra, ale nasze możliwości nie były wystarczające do jej wykonania.

Jeżeli wyobrazimy sobie pozycję mocarstw centralnych podczas ostatniej wojny jako koło i wyruszymy główne linie komunikacyjne obu stron, to jest wewnątrz koła i zewnątrz tegoż koła, z łatwością dojdziemy do wniosku, że jedynym frontem, na którym mogliśmy wówczas prowadzić operacje z zabezpieczonymi liniami komunikacyjnymi był front zachodni. Nasza taktyka na tym froncie była istotnie nieogledna w marnowaniu zasobów i ludzi, ale podstawowe rozumowanie Robertsona, że nasze linie komunikacyjne zmuszają nas do zrobienia największego wysiłku na froncie zachodnim, było, według mego przeświadczenia, słuszne.

Powracamy zatem do sprawy, którą poruszyłem na pierwszym wykładzie, to jest do znajomości mechanizmu wojny. Ona bowiem, a nie strategia odróżnia dobrego dowódcę od miernego.

Jakie należałoby wyciągnąć wnioski z tych kilku rozważań, jakie wspólnie przeprowadziliśmy?

Wymiennym wzajemnym dowódcy wojskowego i polityka-męża stanu skończyła się bezpowrotnie już w zeszłym wieku.

Niemcy doprowadzili rzemiosło wojenne do wybitnej specjalizacji. Przyczyniły się do tego wynalazki i postęp techniki. W znacznej mierze demokracje wytworzyły również typ zawodowego polityka. Nikt już dzisiaj nie może się kusić o odegranie obu ról, należących przecież do tej samej dziedziny rządzenia i prowadzenia ludzkich interesów. Jeśli idzie o nabycie doskonałości w swym zawodzie polityk znajduje się w lepszym położeniu niż wojskowy. On się zawsze znajduje "w polu," podczas gdy wojskowy podczas pokoju ma niewiele okazji doskonalenia się w warunkach nie sztucznych, ale autentycznych. Wojskowy podczas pokoju może być porównany do kogoś pragnącego zostać mistrzem w polowaniu na lisa przez zaprawę i trening w ujeżdżalni za elektrycznym zającem i tylko rzadkie wyjazdy /jak wojsko na manewry/ w teren.

Umysł polityka, który ma za zadanie przekonywać lub krytykować, musi być stale otwarty i giętki, zawsze przygotowany na niespodziewany argument lub krytykę. Umysł wojskowego, który wydaje lub wykonuje rozkazy, ma dążność do sztywnienia i przywią-

zywania się do gotowych formulek. Ale jak dojść do odpowiedniego poziomu? Jedyna droga, to studia nad przeszłością i jej przemyślenie, otwarty umysł na wszystko co współczesne, a skoro przyjdzie sposobność, cierpliwie zrozumienie wzajemnych trudności.

Wojskowy jest skłonny niedoceniać trudności piętrzących się przed politykiem. Przypominam sobie jak jeden z naszych mężów stanu cytował, jako przykład tego nastawienia, następujący wypadek. Chodziło o przeprowadzenie pewnej sprawy związanej, dajmy na to, z powszechną służbą wojskową. Wojskowy niecierpliw się wiele z powodu powolności z jaką ta sprawa była załatwiana przez polityków.

Skoro uznajecie, że jest to konieczne, dla czego nie załatwić tego natychmiast?—zapytywał.

Na co polityk odpowiedział mu jak następuje:

—"Jeżeli masz przed sobą linię rzeki, broniącej przez nieprzyjaciela, którą wypada przekroczyć dla wykonania swego zadania, czy natychmiast przystępujesz do natarcia?"

—"Oczywiście, że nie—odpowiedział wojskowy—nie mogę do tego przystąpić bez uprzedniego rozpoznania, przygotowania artyleryjskiego, starań o odwrócenie uwagi nieprzyjaciela od miejsca, gdzie ma nastąpić właściwe uderzenie, przygotowanie środków przewozowych lub mostu i t.d."

—"Otoż właśnie, odpowiedział polityk, ja również muszę przygotować opinię publiczną, przewidywać obiekcje, w ten sposób sprawy przygotować, aby uwzględnić interesy wszystkich roczników, zając się badaniami lekarskimi poborowych, przewidzieć kto ma być zwolniony i na jakich warunkach, i t.d."

Kończąc już trzeci i ostatni mój wykład. Nie miałem innego celu wygłaszając je, jak przekonać was, że dla zrozumienia historii wojen trzeba studiować je realnie, nie w oderwaniu od życia—wojna nie da się ująć w zasady, wykresy lub reguły.

Dowódca, zwłaszcza wyższy dowódca, który kieruje się w walce Regulaminem Służby Polowej wzbudza tyleż zaufania co lekarz, który szuka diagnozy w encyklopedii medycznej. I żaden system wychowawczy, żadna metoda selekcji i awansów, najgruntowniejsza znajomość wojskowych zagadnień nie są w stanie zapewnić, że dany dowódca będzie posiadał tę najbardziej podstawową cechę—ducha walki.

Jakiejkolwiek popełnili oni błędy, jakiejkolwiek i jak różnorodne były pomiędzy nimi różnice—wszyscy wielcy przywódcy Wielkiej Wojny: Clemenceau, Foch, Lloyd George, Haig mieli jedną cechę wspólną: niezwyčajonego ducha. I jeden z nich powiedział: "Żadna bitwa nie jest istotnie przegrana, dopóki dowodzący nie pogodził się z myślą o przegranej."

Starożytni Rzymianie wystawili pomnik jednemu ze swych wodzów, który wyratował Rzym w najczarniejszej godzinie, z następującym napisem: "nie zwątpił i nie stracił wiary w Rzeczpospolitą."

Chciałbym dodać jeszcze: bogobojni Grecy wystawiali ołtarze wszystkim znanym im bogom, a pomiędzy nimi był ołtarz poświęcony nieznanemu bogu. Cokolwiek byśmy myśleli lub mówili o wielkich wodzach, jakiejkolwiek wystawilibyśmy ołtarze Hannibalowi lub Napoleonowi i Marlborough i innym, winniśmy poświęcić jeszcze ołtarz "nieznanemu dowódcy," to jest dowódcy kompanii, plutonu lub drużyny, który prowadził swoich żołnierzy, wytrwał na stanowisku i padł nieraz nikomu nieznanemu. On to właściwie i w ostatniej mierze wygrywa wojnę.

Naród brytyjski był zawsze narodem wolnym i jest nim nadal. I o ile, dzięki Bogu, nie jesteście narodem militarystycznym, ta tradycja wolności daje podczas wojny naszym niższym dowódcom bezcenną zaletę inicjatywy.

Tak długo, jak ich inicjatywa nie jest zbyt skrepowana formalistycznymi przepisami i regulaminem, wierzę, że będziemy nadal wygrywać wojnę—czasami wbrew lub pomimo najwyższych dowódców.

ARCHIBALD WAVELL

przekład

JANA MEYSZTOWICZA

ŚWIĘTY BOŻE

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny
Wybaw nas, Panie!

Wybaw nas Panie, wybaw od powietrza,
Które wróg zatrul wyziewami zbrodni,
By zaduch zbrodni z naszych pól wynietrzał,
Gdy się staniemy znowu Polski godni.
Święty Boże!

Głód popospolity powszedniego chleba
Znieś nam z Twej woli dla pokuty trzeba.
Lecz niech nas, Panie, Twoja moc zachowa
Od głodu Ziemi i od głodu Słowa.
Święty Mocny!

Niechaj usmierzą Twoje święte dłonie
Ogień piekielny, którym wróg nas pali.
Lecz tego ognia, co nam w piersiach płonie,
Nie gaś, o Panie—a rozpalaj dalej.
Święty a Nieśmiertelny!

My, grzeszni Ciebie, Boga prosimy:
Zachowaj nas, Panie!

Od śmierci nagłej i niespodziewanej
Zachowaj, Panie, Braci naszych w Kraju,
Aby wytrwali mocni, nieskalani,
Aż do dnia sądu nad morderców zgrają.
Święty Boże!

Krew dawno zmyła grzechów naszych plamy,
Po całym świecie kładliśmy swe kości.
O zmiłowanie przeto nie wolamy,
Jeno czekamy Twej sprawiedliwości.
Święty Mocny!

Zbaw od powietrza i głodu i ognia,
Ale od wojny—nie zbawiaj nas Panie,
Dopóki stopa pielgrzymia żołnierza
Na karku pruskim zwycięzka nie stanie.
Święty a Nieśmiertelny!

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny
Wysłuchaj nas, Panie!

ADAM KOWALSKI

* Por. "O dobrym generale" druk w nr. 46, "O stosunku dowódcy do wojska" druk w nr. 49 "Polski Walczący" z ubr. Niniejszy odczyt zamyka cykl prelekcji, wygłoszonych przez gen. Wavella w Uniwersytecie w Cambridge.

Reportaż z Brazylii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

KILKA SŁÓW O EMIGRACJI

Na temat emigracji polskiej do Brazylii można by napisać wiele książek bardziej wzniosłych niż "Pan Balcer", bardziej tragicznych, niż "Na złamanie karku" i mniej tak głupich, a nawet zgoła durnych pod względem tematu i treści, i niechlujnych pod względem formy i stylu, jak... Nie bładźmy jednak niewyrozumiali dla ofiar: małą brazylijskich, oszalałego słońca brazylijskiego i własnych palców (przyzwyczajenie sąco-bredzące z lat szczenięcych), tym bardziej, że szkoda by było na te "rewelacje" papieru i cennego miejsca w szanującej się "Polsce Walczącej".

Faktem jest, że emigracja polska w Brazylii zapisała się tutaj zgłoskami splecionymi z niewysłownych cierpień fizycznych i moralnych, z tysiącnych chorób i zgonów (wymarły prawie wszystkie dzieci pierwszych emigrantów) i straszliwych trudów. O tym, co przecierpiał chłop polski w puszczy brazylijskiej może najwięcej powiedzieć Koponicka w swym natchnionym "Panu Balcerze". Chłop więc polski w Brazylii, który przetrzymał aklimatyzację i choroby, przelamał śmiertelną tęsknotę za krajem, i krwawym potem i nadludzkim trudem stworzył sobie taką lub inną egzystencję, mógłby być dumny, że jego godne najwyższego podziwu "wyczyny" (nie w jego jednak skromnym pojęciu), na które nie zdobyłby się nigdy żaden inteligent i żaden chłop innej narodowości, zostały uwiecznione w "Panu Balcerze" i we wdzięcznej pamięci tych, którzy będą mu mieli do zawdzięczenia łatwiejsze i wygodniejsze życie.

Stało się jednak i dzieje tak, że ten chłop polski i ci, którym wymościł drogę do łatwiejszego życia, nie znają "Pana Balcera". A że chłop polski nie lubił i nie lubi opowiadać o tym, co przeszedł, przecierpiał i zrobił w puszczy brazylijskiej, więc to jego bohaterstwo rozeszło mu się po kościach, i dziś mało kto (nawet ci, co wszystko mają mu do zawdzięczenia) zdaje sobie sprawę z nadludzkich czynów pierwszych kolonistów polskich w Brazylii.

Dzisiaj Brazylija jest inna, niż choćby przed ćwierćwieczem, gdy w Santa Catarinie gineli koloniści polscy od strzału Botokudów. Już oddawna świeży emigrant polski nie jest zmuszony zaszywać się w dziewicze lasy. Dość jest dzisiaj mniej lub więcej "ucywilizowanej" ziemi w pobliżu miast i dróg kolejowych i kolejowych. Dzisiaj Brazylija jest zupełnie inna, niż za czasów "Pana Balcera"; nie mniej jednak pozostały te same sposoby i poglądy polskie (co najmniej z przed półwieku) na sprawy kolonizacyjne w Paranie, w Rio Grande de Sul czy w Espirito Santo. Polscy bowiem specje kolonizacyjni (ci z łaski swojej) do ostatniej chwili wypychali nowych emigrantów w dziewicze puszcze, o setki kilometrów od kolei i miast, na straszliwe trudy, choroby i bardzo nędzne bytowanie, gdy tymczasem inne narodowości usadawiały się w pobliżu miast, gdzie w ciągu krótkiego czasu można było dojść do wcale znośnych warunków życia.

Błędy naszej polityki kolonizacyjnej (emigracyjnej) do dziś wołają o pomstę do nieba (Peru, Espirito Santo, Santa Rosa i Parana). Metody zaś skłaniania nowych emigrantów do opuszczenia kraju, oparte na kłamstwach i zwykłych oszustwach (Peru, Espirito Santo) winny były dawno znaleźć więcej niż zainteresowanie u władz sądowych. Dość powiedzieć, że kandydatowi na emigranta pokazywano fotografie pól uprawnych i pięknych budynków gospodarskich do nabycia w Brazylii, w rzeczywistości zupełnie tam nie istniejących.

Męczeństwo emigranta polskiego w Brazylii, właściwie należy dzisiaj do przeszłości. Pamięć tych czasów rozplywa się w mgłę zapomnienia wśród co najmniej licznych pierwszych emigrantów. Gdy po pewnym czasie znikną z areny życia ci ostatni "mohikanie" początków kolonizacji polskiej, pamięć tych niezwykłych skądinąd czasów trwać

będzie jedynie w "Panu Balcerze", gdyż tutaj nowe pokolenie nie interesuje się tym, co zrobili ich ojcowie. Młodych pociąga błyskotliwa (tak łatwa tutaj dla nich) przyszłość, przeszłość zaś pozostawiają na własność i wyłączne zachowanie starym, śmiesznym ludziom.

Dzisiaj kolonia polska, stanowiący własnym wysiłkiem na nogach, rozgląda się za czymś większym, niż zawód rolnika czy robotnika, który był im tu przysadzony z góry. Dotąd wprawdzie przeszło 90% kolonii polskiej to koloniści (chłopi) i robotnicy. Dużo jednak znaków na ziemi Krzyża Południowego świadczy, że chłop i robotnik polski zaczynają w tempie przyspieszonym wydawać ze siebie inteligencję: doktorów, adwokatów, inżynierów, dentyków i tp. Jeszcze dziesięć lat temu taka Kurytyba miała jednego tylko adwokata, i ani jednego doktora czy denty, tu dyplomowanego. Dziś liczy ich kilkunastu, a za nowe dziesięć lat...

W tym nieco przydługim rozdziale rzuciłem kilka gorzkich uwag pod adresem "kolonizatorów" polskich. Trudno byłoby na ten tragiczny i bolesny temat nic nie napisać. Pominąć go bez słowa krytyki byłoby nieuczciwie. Błędy kolonizacji, znane tutaj niemal każdemu z nas, nie mogą być puszczzone w niepamięć, jak nie mogą być rzucone w zapomnienie żadne błędy. Tyle przecierpieliśmy naskutek zapomnienia o błędach przeszłości, że najwyższy czas nauczyć się tych błędów na pamięć, by nigdy więcej nie mogły się powtórzyć.

ILU NAS JEST W BRAZYLII

Jakkolwiek na temat "liczności" kolonii polskiej w Brazylii czynnik oficjalne poczuwały się do obowiązku ostatecznego i decydującego wypowiedzenia się, to należy z góry zaznaczyć, że oficjalne dane statystyczne(?), z powodu zromowanego tylko tym czynnikiem, były zawsze wyolbrzymiane. I tak kolonię polską w Paranie obliczano na 200 tysięcy osób. Ogólną liczbę Polaków w Brazylii podawano na przeszło 300 tysięcy.

Jak jednak stwierdzono (lata 1937 i początek 1938) na podstawie pewnych obliczeń, dane oficjalne były najzupełniej przypadkowe i raczej obliczone na efekt. W rzeczywistości należy przypuszczać, że ogółem kolonia polska w Brazylii liczy co najmniej 200 tysięcy głów, z czego dużo więcej niż połowę osób urodzonych w Brazylii czyli według praw miejscowych—rodowitych Brazylijan. Według wyżej wymienionych obliczeń Parana liczyła przeszło 80 tysięcy osób, Rio Grande de Sul przeszło 70 tysięcy, Santa Catarina około 30 tysięcy, reszta rozrzucona była w północnych stanach Brazylii, z przewagą w stanie a właściwie w mieście São Paulo.

Według ostatnich (oficjalnych) danych brazylijskich kolonia polska w Paranie liczy około 48 tysięcy głów (obywateli polskich). Trudno jednak byłoby stwierdzić, jak dalece te dane są zgodne z rzeczywistością. W każdym bądź razie obywateli polskich, w znaczeniu praw brazylijskich, kolonia polska w całej Brazylii napewno nie liczy 100 tysięcy osób, z czego najwięcej przypada na osoby starsze, względnie na emigrację powojenną. Ten nierealny na pierwszy rzut oka stosunek obywateli polskich do osób pochodzenia polskiego tłumaczy się ogromną śmiertelnością pierwszych emigrantów (wymarły prawie wszystkie dzieci zrodzone w Polsce—obywatele polscy) i faktem uznania dzieci Polaków (jak i innych narodowości), zrodzonych tutaj, za Brazylijan.

WARTOŚĆ SPOŁECZNA KOLONII POLSKIEJ

Jak już wyżej zaznaczyłem, przeszło 90% kolonii polskiej to chłop i robotnik, z czego co najmniej 80% to koloniści (chłopi). Inteligencji europejskiej (z polskiej) i rodzimej (zrodzonej i wytworzonej w Brazylii) jest tutaj nieproporcjonalnie mało, jak już

jednak zaznaczyłem widoki na wzrost inteligencji są w ostatnich czasach znaczne. W początkach jednak polskiej emigracji do Brazylii inteligencja polska (europejska) nie liczyła tutaj bodaj nawet 2% ogółu kolonii polskiej. Rozmyślnie podkreślam ten stosunek inteligencji emigranckiej do chłopów i robotników, w celu wykazania niezwyklego zjawiska—imponującej wprost rozbudowy społeczności polskiej w Brazylii, wzniesionej sękatymi rękami (przede wszystkim) chłopów i robotników, wbrew temu wszystkiemu, co oddawna mówiło się na temat antyspołeczności tych dwu stanów.

Nie chcąc rzucać darmo słów, podam szereg cyfr. Kolonia polska w Brazylii do roku 1938 zorganizowała i utrzymywała: około 340 szkół i przeszło 500 różnego rodzaju towarzystw, z czego około 15 szkół i 30 towarzystw przypadało na większe i mniejsze ośrodki miejskie, reszta na kolonie (wieś). Z tego zestawienia wynika, że olbrzymia większość budynków szkolnych i towarzyskich została wzniesiona przez kolonistów (chłopów); jeśli do tego dodamy, że szkoły polskie na kolonii były przeważnie samowystarczalne, czego nie można było powiedzieć o szkołach w miastach, możemy sobie wyobrazić wartość społeczną chłopów polskiego w Brazylii. Roczne wydatki kolonii polskiej tylko na szkolnictwo (pensje nauczycielskie) wynosiły 350 tysięcy milrejsów (nie licząc wydatków na konserwację budynków szkolnych, towarzyskich i tp. z czego najwyżej 10% przypadało na ośrodki miejskie).

Większość tych towarzystw wznosił chłop i robotnik polski jeszcze na długo przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Później, gdy powstała Polska, jeden i drugi tym chętniej budował szkoły i towarzystwa, choć teraz wszystkie zasługi za te i poprzednie prace brali chętnie i z własnej inicjatywy na swe barki różni karierowicze nadsyłani z kraju, przypisując sobie w wydawnictwach oficjalnych i raportach wszystko, co tylko tutaj kolonia polska zbudowała. Kolonista polski o tym długo nie wiedział, zbyt miał czyste serce, by podejrzewać braci z kraju o brudne interesy, robione na jego przywiązaniu do polskości, która tym panom służyła jedynie za odszkodowanie do dalszej kariery i zaszczytów. Dopiero Kurytyba zwróciła uwagę na te nieczyste machinacje.

W rezultacie rozpoczęła się walka z przyjeźdnymi karierowiczami. W zamieszaniu kolonia polska, naskutek zręcznych intryg różnych karierowiczów, podzieliła się na obozy, zwalczające się z dużym temperamentem i nie małymi szkodami dla obu stron. Rozbitej kolonii polskiej, podsypane zręczne i bez skrupułów, powiększało się w zastraszający sposób z roku na rok. Nie spodzianie w czasie największych zapasów spada, jak grom, nacjonalizacja. W ciągu krótkiego czasu zamknięto wszystkie szkoły polskie; z towarzystw i organizacji polskich uratowały się: jedno w São Paulo, jedno w Porto Alegre i jedno w Rio de Janeiro.

Dzisiaj pozostało tylko smętne wspomnienie po wspaniałym zorganizowanym i rozbudowanym polskim życiu oświatowo-społecznym w Brazylii.

STOSUNEK DO KRAJU

Miałem nieraz sposobność rozmawiać ze starymi kolonistami o Polsce, opuszczonej przez jednego z nich przed kilkudziesięciu laty. Zawsze przy tym zdumiewała mnie niezwykła świeżość ich wrażliwości na wspomnienia o kraju. Wywołać u nich opowiadaniem o Polsce było bardzo łatwo. Ludzie ci mieli zdumiewającą wprost pamięć rzeczy i miejscowości. Długo i z przejęciem mogli opowiadać najdrobniejsze szczegóły o wsi rodzinnej, najbliższej okolicy, drzewach, krzaczach, roślinach i owocach, zapachach i barwach. Byłem zdumiony ścisłością ich pamięci, czego nie mógłbym powiedzieć o niejednym inteligencie, który opuścił Polskę dużo później po nich.

Ta szczególna pamięć chłopiska

ma wprawdzie swe uzasadnienie w prostocie życia kolonisty polskiego, i co za tym idzie ograniczonej sposobności wchłaniania większej ilości wrażeń (zabijających wspomnienia z kraju), co pozwala na wspaniałe zachowywanie ich w zupełnej świeżości. Tym też sobie tłumaczę, że chłop polski, który dostał się z polskiej wsi na zupełnie polską kolonię, potrafił lepiej i dłużej zachować w duszy i sercu nieraz stuprocentową polskość, stwarzając wokół siebie życie na obraz starokrajski (dom, sprzęt, wóz, ubiory, zwyczaj, obyczaj, uprawa roli i tp.). Dopiero pod przemożnym wpływem klimatu i przymusem odrębnych warunków życia zmienił się nieznacznie na zewnątrz zachowując jednak w sobie w wielu wypadkach duszę najzupełniej polską.

Nie można tego powiedzieć o robotniku, rzemieślniku a nawet inteligencie polskim w mieście, którzy pod wpływem odmiennych warunków życia i konieczności przystosowania się do niego, dość często i łatwo wynaradawiali się nieraz zupełnie, zapominając i gubiąc na karuzeli życia całą polskość.

Na ogół jednak kolonia polska w Brazylii od chwili swego powstania z godnym podziwu pietyzmem starała się tutaj zbudować życie polskie w całej okazałości, nadając mu cechy wybitnie narodowe. Więc wszystkie tutaj towarzystwa nosiły nazwy bohaterów lub zasłużonych mężów polskich, więc obchodziło się tutaj wszystkie święta narodowe z ogromną powagą, przejęciem i niezmiernie uroczystości; więc każdego nowego rodaka przyjmowano tu z otwartymi ramionami; więc marzyło się tutaj gorąco, uparcie i z niezachwianą wiarą o zmartwychwstaniu Polski.

Wybuch wojny w 1914 r. ogarnął kolonię polską w Brazylii gorączkowymi nastrojami. Idą stąd ochotnicy, płynię pomoc pieniężna i rzeczowa. Po odzyskaniu niepodległości nie szczędzi się tutaj krajowi pożyczek. Wreszcie z niezwykłą pompą przyjmuje kolonia polska w Paranie pierwszego przedstawiciela odrodzonego kraju. Serca wówczas przepiełniał nadmiar szczęścia i radości, zapału i uniesienia. Na ten rozfalowany najwznieślijszymi uczuciami grunt pada niespodzianie twardy i ostry głos pierwszego wysłannika kraju, zapowiadający, że teraz "psim obowiązkiem" kolonii polskiej będzie słuchać jego i jego wszystkich następców...

Autentyczne to i niewątpliwie nad wyraz głupie wystąpienie biurokraty, mianowanego lekomyślnie przedstawicielem kraju, po raz pierwszy zwarzyło gorące uczucia tutejszego wychodźstwa polskiego i mimo woli "nauczyło" mu podejrzeń, że ci nowi ludzie z Polski są inpi, niż oni. Ta "inność", ta odmiennosc nowych ludzi z kraju uwidaczniała się z roku na rok.

Doszło do tego, że kolonia polska w Brazylii poczęła dzielić się na "my" i "wy," czego najzupełniej nie starały się zmienić (przeciwnie jeszcze pogłębiały) czynniki powołane do scalania kolonii polskiej. Ten niezdrowy i niepożądany stosunek do nowych ludzi z kraju (mówiąc otwarcie, przeważnie złych i szkodliwych) poczęł podważać zaufanie do czynników, które tych ludzi tu kierowały. Z czasem powstała tu stała opozycja do polskich placówek konsularnych i polityki przez nie stosowanej.

Dzisiaj trudno by mi było powiedzieć, i by przy tym nie skłamać, że kolonia polska w Brazylii tworzy zwartą całość, że jest jedną kochającą się rodziną. Trudno też by mi było powiedzieć, że istniejące tu rozbieżności wyłączone tylko kolonii polskiej.

Te, wciąż tutaj żywe i pokutujące błędy winny być wreszcie wymazane. Nie widzę jednak najzupełniej, by w tym kierunku podjęto jakiegokolwiek kroki. Czas najwyższy, by głośna dziś "sprawiedliwość" i nowy porządek zapanowały wszędzie a więc i na zagranicznych terenach, by nie pozostały wyświechtanymi

frazesami. Niech jednak zmiany na lepsze nastąpią dyskretnie, bez konieczności pokazywania palcem i głośnego wykrzykiwania, co w tym kierunku należy zrobić.

OFIARNOŚĆ KOLONII POLSKIEJ

Kolonia polska w Brazylii w ofiarności swej na cele polskości przerosła wszystko, co na ten temat można by powiedzieć. Wzniosła bowiem setki budynków szkolnych i towarzyskich, poświęconych nieczemu innemu jak kulturowaniu polskości, płaciła za kulturowanie tej polskości nauczycielom pensje, budowała liczne kościoły, by w nich słyszeć słowo polskie. W czasie wojny europejskiej dała ochotników, dawała pieniądze, dała wreszcie pożyczkę. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nigdy nie odmówiła żadnej zbiórce. Ostatnio, w ciągu dwóch lat, dała na F.O.N. i na pomoc ofiarom wojny w Polsce co najmniej milion milrejsów w gotówce, rzeczach i żywności.

Wprawdzie ostatnio ofiarności kolonii polskiej nieco zmalała. Składa się na to kilka przyczyn, między innymi brak odpowiedniej na miejscu propagandy (nie ma tu ani jednego polskiego pisma, ostatnio zamknięto nawet "Gazetę Polską," mimo że wychodziła w języku portugalskim).

Mimo jednak tych przeszkód stale wpływają ofiary, szczególnie na jeńców polskich w Niemczech (są wypadki ofiarowania stałych składek miesięcznych w wysokości 20% ogólnego zarobku ofiarodawcy) i płyną też stąd morzami nasi ochotnicy.

OBCENE NASTROJE KOLONII

Wypadki wrześniowe wstrząsnęły kolonię polską do samej głębi duszy. Klęski, po bohaterskich walkach na polach bitew uderzyły w wychodźstwo, jak piorun z jasnego nieba. Bo przecież któż tutaj (karmiony "ultra-propagandą" o naszej niezwyciężoności, o nieoddaniu nawet guzika od płaszcza) mógł chociaż by przypuszczać, że właśnie stanie się tak i tak prędko. Zwłaszcza słysząc tutaj od różnych oficjalnych głuptasów, że w razie wojny z Niemcami zabierzemy Prusy Wschodnie w dwa dni a trzeciego dnia podyktujemy pokój Niemcom w... Berlinie, że tego wszystkim dokonamy przy pomocy Rosji, z którą nie omieszkamy sprzymierzyć się w ostatniej chwili. W razie wojny z Rosją (według tej samej recepty), po uprzednim zawarciu przymierza z Niemcami, mieliśmy ją pobić równie błyskawicznie.

Jakże więc gorzka była nieprzezwana nawet rzeczywistość! I jakże wspaniałe na tym żalosnym tle rozkwitało bohaterstwo żołnierza, Warszawy, Westerplatte, Helu...

Wojsko polskie we Francji, jak ongiś legion Dąbrowskiego, porwa nadzieje wychodźstwa do nowego lotu. Upadek Francji jest ciosem niemal śmiertelnym. Więc poblądymi ustami mówi się, że teraz będzie trudniej, dużo trudniej, że trzeba będzie cierpliwie czekać... Bóg wie, jak długo?

Nikt jednak nie stracił nadziei! Reorganizacja wojska polskiego w Anglii uskrzydla na nowo nadzieje. Bohaterstwo lotników polskich w walkach powietrznych nad Anglią wstrząsa wychodźstwem polskim, jak niegdyś upadającym na duchu narodem polskim wstrząsał mazurek Dąbrowskiego.

Najwyższe współczucie dla braci w Polsce, miłość do wojska polskiego w Anglii, szczególnie do naszych bohaterskich lotników, i wiara w zwycięstwo wypełniają bez reszty serca kolonii polskiej.

I wielu marzy o tym, by stanąć ramię w ramię przy tych, którzy już są w Anglii. Mogą o nich powiedzieć ci, którzy już stąd ruszyli.

Czas mija. Serca jednak kolonii polskiej w Brazylii biją tętnem jednakowym z wszystkimi sercami polskimi, rozsiągnięte po całym świecie, i są gotowe do ofiar i poświęceń.

Żądło "Genowefy"



rysował Artur Horowicz

Pierwsza moja wyprawa bombowa bardzo mnie onieśmielała. Mielśmy lecieć na Boulogne, za ledwie 420 mil w obie strony, z czego tylko 100 mil nad Kanałem i francuskim brzegiem. Ale po raz pierwszy w życiu nie ja miałem trzymać stery samolotu; po raz pierwszy miałem go bronić ogniem karabinów, umieszczonych daleko w tyle, na samym końcu ogona, w ruchomej wieżyczce. A w dodatku Zygmunta po odprawie zachowywał się tak, jakby szukał trzech do bridge'a, zamiast wziąć się do opracowania trasy, i to mnie denerwowało najbardziej.

Nawigatorzy pozostałych pięciu samolotów śledzi nad mapami, kreślili, obliczali, kombinowali. On—najpierw laził między długimi stołami sali nawigacyjnej, przystając i gadając z tym i owym; potem czytał gazetę; potem drzemał przy kominku, a wreszcie zaczął się informować, jak po niemiecku jest: bandyta, świnia, złodziej, alfons i podlec. Dopiero uzyskawszy te wiadomości, na marginesie gazety zanotował parę cyfr, zajrzał komus przez ramię do mapy i oświadczył, że już jest gotów.

Właśnie się ciemno zrobiło, więc—otrzymawszy na drogę torbki z suszonymi owocami i czekoladą—pojechalśmy na lotnisko. "Genowefa" stała rozkraczona zaraz pierwsza z brzegu, widać, że w poważnym stanie, bo z brzuchem ciężkim od bomb, nisko nad ziemią. Talaga wylazł z gondoli i przysiadł na pękającym pneumatyku koła. Raz po raz spoglądał to na nas, to na start, gdzie rozstawiono ostatnie światła. Potem, gdyśmy zaczęli wchodzić po stopniach do wnętrza maszyny, wstał i podszedł blisko. Zdaje się, że był bardzo podniecony; chciał coś powiedzieć i jakoś nie umiał. Wyciągał rękę, żeby pomóc nam wejść, żeby podtrzymać, i cofał ją w pół drogi: nie trzeba? ...

Mnie ścisnął za ramię nad łokciem. Wtedy poczułem, jak mu drży mocna, sekata dłoń i zobaczyłem w mroku jego zatroskaną twarz. Zatrzymałem się na chwilę i spojrzałem mu w oczy. Puścił mnie natychmiast:

—W porządku, panie kapitanie, w porządku. Oparłem się na jego szerokich barach i dałem nura do kabiny. Zobaczyłem jeszcze jasną plamę jego twarzy przez kwadratowy otwór wejściowy; potem ktoś usunął schodki i kłapa szczękła, oddzielając nas na cztery godziny od zewnętrznego świata.

Jeszcze nie dotarłem do mego stanowiska, zaczepiając co chwila o występy kadłuba, o żebra, złącza i wręgi, kiedy lewy silnik zakrzusił się, sapnął, zagdakał i ruszył, a zaraz za nim warknął prawy i już wspólnie rozdygotały dreszczem rezonansów całą gondolę.

Poskładałem się jak scyzoryk w mojej wieżyczce, włączyłem słuchawki i mikrofon, namacałem koniec przewodu tlenowego i usłyszałem wezwanie na start.

Ruszyliśmy z chrobotem i bębnieniem płoży, z cmokaniem i dobijaniem amortyzatorów, jakby "Genowefa" była w ostatnim stadium reumatyzmu, który sie-

dział we wszystkich jej stawach. Góral wykręcał w prawo na lewym silniku, poczem pociągnął obydwoma i wtedy przez szyby zobaczyłem rozplywające się w ciemności sylwetki mechaników. Każdy z nich wznosił wysoko odgięte kciuki obu rąk:

—Good luck!

Przewinął się rząd lamp startowych, błysnęły ostrzegawcze czerwone światelka na dachu hangaru, jakiś samochód mruknął zegnem reflektorów, zamigotał sygnem ręcznej latarki: zwrot do startu!

—Halo, halo, Genowefa ...

Ostatnie zdania, zawsze te same przed odlotem, i znów:

—Good luck!

"Genowefa" wysłała się, stęka, jęczy, wyje i drga. Ciemność rusza z miejsca i pędzi pod mną, nade mną, po bokach. Odsadza się i przypada bliżej, goni i zostaje w tyle, przysiadła, cwałuje, bije falami i odpływa, aż wreszcie opada w dół odcinając—jak nożem—bolesny skowyt amortyzatorów.

Jesteśmy w powietrzu i po chwili kładziemy się w skręt: niebo, jasne jeszcze na zachodzie, przechyla się, jakby chciało zajrzeć do gondoli, ale "Genowefa" zamiata ogonem (i mną) po horyzoncie i już się podnosi z wirażu.

—Odchodzimy na kurs do celu —melduje Merkur, poczem zapada długie milczenie.

To milczenie jest dla mnie szczególnie dziwne: jako pilot rozmawiałem ciągle. Nie z ludźmi wprawdzie, ale zawsze była to rozmowa. Z zegarami w tablicy rozdzielczej; z silnikami, z busolą, z mapą. Pilot, radiotelegrafista, nawigator i przedni strzelec mają z kim rozmawiać i mają temat. Strzelec tylny—nie, albo bardzo rzadko, zwłaszcza w locie do celu. Bo tamci widzą, co się dzieje w tej stronie dokąd lecimy, a radiotelegrafista łączy z ziemią fala jego stacji. Natomiast strzelec tylny stoi na warcie; tylko pilnuje. Przytem jest sam, daleko od reszty załogi i jedynie w chwilach ataku z powietrza staje się niezbędny, zaś tylko bezpośrednio po bombardowaniu ma coś do powiedzenia: melduje o jego skutkach.

Pilot myśliwski jest głównym elementem latającego zespołu, jaki tworzy wraz z samolotem. Silnik, skrzydła, stery, karabiny i działka, to są jego organy, których używa, którymi się posługuje. To on kładzie się w skręt, mierząc jednym swoim skrzydłem w ziemię, a drugim w zenit nieba. To on

przewija się w beczie i przeciąga się w pętli. To on spada w dół, on wkręca się w korkociąg, on tryska świecą w górę.

Natomiast ja—tylny strzelec? ...

Mnie wydaje się teraz, że należą do organizmu tego Wellington'a—potężnej bestii latającej. Jej mózg—to nawigator. Ośrodek nerwowy, koordynujący ruchy—to pilot. Radiotelegrafista—słuch. Przedni strzelec—wzrok. Ja zaś—żądło; organ obrony przed napaścią innych, podobnych potworów powietrznych. ...

Nie, nie czuję się już samoistną, oddzielną jednostką: jestem częścią składową. Jestem narzędem, tak właśnie, jak żądło jest narzędziem pszczoły. To nie ja leczę na bojowe zadanie, lecz "Genowefa"; "Genowefa", która, między innymi, składa się także i ze mnie.

To uczucie jest dziwne i zupełnie nowe; jakieś nieludzkie. Przeciwnie naturze. Mojej naturze; naturze pilota. Po raz ostatni—w Polsce—ja miałem samolot. Teraz Wellington "Genowefa" ma mnie—tylnego strzelca. On jest całością; ja—tylko jego fragmentem, bynajmniej nie najważniejszym; koniecznym tylko czasami. ...

Pewnie można do tego przyznać. Nawet można tego wszystkiego nie dostrzec. Góral na przykład mówi:

—Ta nasza pocziwa "Genowefa"—i traktuje gada, jak domowe oswojone bydło, które wozí całą załogę, bomby i jego, Górala, nad cel, posłuszne woli pilota.

Ale ja w tym pierwszym boju locie nie mogę tak myśleć o "Genowefie". Dla mnie żyje ona swoim oddzielnym życiem, tak jak i inne, jej podobne. I to nie my lecimy na niej bombardować Boulogne, tylko ona tam leci, posługując się nami: swoim mózgiem, nerwami, słuchem, wzrokiem i—żądłem. ...

Od czasu do czasu słyszę, jak Zygmunta wymienia nazwy mijających w głębokiej ciemności, niewidzialnych miast.

Nieco później Bujak—oko "Genowefy"—mówi, jakby mówił wprost do niej:

—Wchodzimy nad Kanał. Pod nami morze.

A po chwili Wellington przypomina sobie o mnie i pyta głosem Górala:

—Herbert, nie śpisz?

—Nie śpię—odpowiadam przez ściśnięte gardło, doznając takiego uczucia, jakiego powinna doświadczać moja zdrtwiła noga, gdy się o nią zatroszcze.

—Może byś przestrzeleł swoje spluwaczki?—proponuje dobroliwie latający potwór.

Proponuje, czy—myśli? Po prostu: chce! A ja ulegam jego woli. Wykonuję funkcję jego organizmu; po prostu: funkcjonuję. ...

Krótki, suchy werbel serii—to mój głos; drganie zdwojonych karabinów maszynowych i półobrotowy wieżyczki: w lewo, w prawo—to mój ruch; smugi pocisków, miotanych w przestrzeń—to moje działania. Działanie żądła. ...

Lecz—co to?! Jakiś cień, czarniejszy niż noc, zamajaczył powyżej mnie, trochę w lewo. Rozplynął się i zamajaczył znowu na wprost, za ogonem Genowefy. ...

—Jest, czy nie ma go tam? ...

—Jest! Zbliża się!! Rośnie!!!

Zupełnie mechanicznie (czy może: zupełnie instynktownie?) podnoszę sprzężone lufy kaemów na jego wysokość i w tej samej chwili widzę cztery ogniste języczki wyskakujące jakby z pyszczków czterech jaszczurek ustawionych rzędem przede mną.

—Poprawka?—Niepotrzebna!

Naciskam spust, prowadzę za cieniem, za ogniem: sekunda—

dwie—trzy. ... Jaszczurki zamknęły pyszczki, cień rozplynął się, znikł.

—Co tam?—pyta Góral.—Myśliwiec?

—Chyba—mówię ochryplym głosem.

—No i co?

—Odskoczył po pierwszej serii.

—Jak zwykle—konkluduje Zygmunta, nie wiem: z udanym, czy szczerym zdumieniem.

I znów długie milczenie. Znow spokojny, równy warkot silnika. Tylko ja—żądło samolotu, jego organ obrony—jeszcze drzę wzruszeniem. Czy nie tak właśnie, jak drży żądło skorpiona, lub osy? ...

Ktoś melduje zużycie paliwa, a potem Merkur oznajmia:

—15.000 stóp.

—Brzeg!—wola głośno Bujak z przedniej wieżyczki.—Brzeg!—aż w słuchawkach dzwoni.

Potem—fakty idą jedne po drugich z taką szybkością, jakby chciały wynagrodzić sobie długie godziny oczekiwania na to, że się miały stać; na tę chwilę. W której się dzieją.

Kurs bojowy, skręt, poprawka: —Jeszcze pięć stopni w prawo. Tak jak teraz, dobra.

Warkot silników milknie, pęd gwizdże przy burtach.

—Ani jednego reflektora—mówi Bujak.

Artyleria milczy, więc to może strefa myśliwców?

—Zaraz będzie basen numer 3—odzywa się Zygmunta, leżąc na pokładzie z nosem rozplaszczonym na przezierniku.

Patrzę w dół: lecimy, zdaje się, równoległe do brzegu. Gdzie on widzi jakiś basen?!

Aha: widać coś jakby port. Teraz—niewyraźne, wrzecionowate kształty, jakby ziarnka zboża. ...

Alęz tak, to są barki i statki, które Niemcy przygotowują na inwazję. ...

—Uwaga—stęka Zygmunta.

Zatrzymuję oddech.

—Bomby!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. ...

Dlaczego nic nie słychać?!

Sześć. ... siedem. ...

—Sa!

Duch Zniszczenia przebiegł po ziemi i wodzie! Gdzie stąpił—buchnęło blaskiem, ogniem, dymem! A potem noc jęknęła odgłosem wybuchów i—rozszalała się artyleria.

Podmucha jej pocisków dosięgły skrzydła maszyny: wzdrzygnęła się raz po raz, poderwała się w górę, przepadła, gębnęła się na skrzydło i sunie dalej milcząc nad co raz jaśniejszymi pożarami, które odbija czarna, pośniewająca woda u stóp kratownic doków i między stłoczonymi barkami.

Wtem ktoś zaczyna mówić po niemiecku. Mówić?—Nie: raczej wymyślać. Potok słów popłynął wartko przez słuchawkę, zmieszal się, zmacił, nabrzmiął pasją i runął wodospadem przekleństw.

Byłem tak zaskoczony tą istic piekielną niemiecką litanią, że z początku wydało mi się, jakby ja nam posyłała okupowana przez Niemców francuska ziemia razem z ogniem działowym. Ale później do przekleństw niemieckich dołączyły się równie soczyste polskie i francuskie, a wreszcie dyszący wściekłością głos oznajmił:

—Zebyscie, dranie, wiedzieli, że te bomby rzucili Polacy i—niech was jasna cholera wszystkich co do jednego wytłucze!

Odwracam głowę—spoglądam ku przodowi gondoli. To Zygmunta anonsuje nas niemieckiemu garnizonowi portu, a Koza, włączywszy radiostację na nadawanie, patrzy w niego jak w tęczę. Chce mi się śmiać, krzyżeć, skakać i—wy-

myślać także. Ale w tej chwili słyszę głos Bujaka:

—Panie kapitanie, reflektory!

Odwracam się gwałtownie, wyrznięłem o coś broda, chwytam tyłce kaemów. Z dołu skośnie przebiły mrok dwa skrzyżowane groty białego światła. Podszam się wygodniej, wykręcam wieżyczkę bardziej w lewo. ...

Jest jeden: blask lśni na lufach, oczy boją. ...

Grzeję—nic.

Druga, trzecia seria—nic.

—Za mała poprawka—przelatuje mi przez głowę.

Zakładam więcej, wałę, nabrawszy pełne płuca tchu i trzymam, trzymam. ...

—Zgasi!—krzyczy Zygmunta.

Istotnie, zgasi. Ale—mogłem go nie trafić. Tego się, niestety, nigdy na pewno nie wie. ...

Tymczasem silniki zaczynają mruścić i pożary przez nas wzniesione oddalają się zwolna. Patrzę na nie ciągle ostrygając z emocji, w miarę jak zbliżamy się do angielskiego brzegu.

Po dwudziestu pięciu minutach mijamy Dover. Nad Boulogne ciągle widać lunę, a "Genowefa" rży z uciechy obu silnikami—piekielnica.

Spoglądam na zegarek: dochodzi północ. Między chmurami, pod którymi nas niesie w podmuchach wiatru, przeblaskują gwiazdy. Zdaje się, że deszcz pada.

W gondoli—zimno. Włazi za kolanier i pelźnie po grzbiecie i po ramionach w dół. A jednocześnie marzną stopy i ręce. Żeby prędzej było lotnisko! ...

Ale droga powrotna dłuży się bardziej, niż droga do celu; w dodatku wiatr mamy północno-zachodni. Góral znów pyta co chwila, czy nie śpimy, ja i Bujak. Chce mi się spać istotnie i pewnie bym zasnął, gdyby nie wewnętrzna wibracja nerwowa po tych pierwszych od tak dawna wzruszeniach nocnego lotu na bojowe zadanie.

Mija znów pół godziny i wreszcie Zygmunta mówi:

—Zaraz będzie lotnisko.

—Nic nie widzę—powiada Bujak.

I zaraz potem:

—Lotnisko pod nami!

Rzeczywiście czarna otchłań mruga do nas świetlnym sygnałem porożumienia.

"Genowefa" zawraca lukiem o 270 stopni, wypuszcza lapy podwozia, otwiera kłapy skrzydłowe i zaczyna tonąć. Na samym dnie ciemności zjawia się struga światła: to reflektor lotniskowy.

Siadamy z nieodzownym gruchotem całego pudła, jakby się dom walił, i kolujemy za mrującą latarką, którą ktoś prowadzi nas na zwykle miejsce postoju.

Z mroku wylania się narożnik drewnianego baru i znajomy strzępiasty świerczek tuż przy nim. Lewy silnik, prawy silnik, hamulce! Ogon "Genowefy" podskakuje na kretowiskach, zarzuca, staje. Zmęczone motory kłękają wolno, wolno, wreszcie milkną jeden po drugim i słyszę głos Talagi:

—Schodki! Żywo!

Wylącam się z organizmu Wellingtona: odcepiam kabel słuchawek, odkładam na miejsce pewnowy przewodu tlenowego, zamocowuję kaemy. ...

Wylazimy, zziębnięci i weseli; ja na końcu, ze zdrtwiłymi nogami, jakby mi nalano wody sodowej do żył i mięśni. Widzę, jak Talaga liczy nas palcem i czuje, jak mnie dotyka.

—Zdrowi wszystkim, panie kapitanie?—pyta stłumionym głosem.

—Zdrowi, zdrowi. Wszystko dobrze—odpowiadam, podzwaniając melodyjnie zębami.

—A jak maszyna?

Góral odpowiada, że maszyna jak złoto, i widzę, jak gdyby mechanicznie rozjaśnia uśmiech dumy i zadowolenia: to przecież ich zaśluga!

Potem cała załoga otacza mnie i każdy się dopytuje, jak mi się podobało. Mówię coś w miarę do rzeczy i zaraz wszyscy razem zaczynają gadać o tym, co i jak było. Wreszcie zajeżdża autobus, siadamy i jedziemy na "spowiedź" do "inteligentnego."

—A jak maszyna?

—A jak maszyna? Góral odpowiada, że maszyna jak złoto, i widzę, jak gdyby mechanicznie rozjaśnia uśmiech dumy i zadowolenia: to przecież ich zaśluga! Potem cała załoga otacza mnie i każdy się dopytuje, jak mi się podobało. Mówię coś w miarę do rzeczy i zaraz wszyscy razem zaczynają gadać o tym, co i jak było. Wreszcie zajeżdża autobus, siadamy i jedziemy na "spowiedź" do "inteligentnego."

PORUCZNIK HERBERT

1) Intelligent's officer, który przyjmuje szczegółowe ustne sprawozdania załogi z odbytego lotu.

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11.I.—31.I.1942.

Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach:	
pewnych	1	106	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 31.I.1942.		Główne cele: Bremen, Boulogne, Emden, Hamburg, Hanover, Monastyr.	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Łączna ilość samolotów:	
pewnych	421	1716	
Strzelec bombowca zestrzelił jednego Messerschmidta 110.			

SINGAPORE

Japończycy, po dwóch miesiącach walki na Półwyspie Malajskim, doszli do wyspy Singapore. To jest wiadomość, ważniejsza od wszystkich innych. Czy Singapore długo będzie się mogło bronić, gdy zostanie zaatakowane „od tyłu”, gdy pierwotne plany obrony i budowa wszystkich prawnie umocnień fortecy liczyły się z kierunkiem ataku... od strony morza? Oto pytanie najważniejsze i najbardziej niepokojące. Spodziewana lada dzień kontrofensywa od strony Burny dotąd nie nastąpiła, plany generała Wavell'a i admirała Hart'a są dotąd nieprzeniknione.

KONWÓJ W CIESNINIE MACASSAR

Przeciwwuderzenie natomiast nastąpiło w miejscu najmniej spodziewanym. Olbrzymi konwój japońskich wojsk wypłynął do cieśniny Macassar—między wyspami Borneo i Celebes. Jest to najkrótsza droga z północy na Jawę i do drugiej co do znaczenia po Singaporze bazy morskiej na Jawie: Surabaya. Okrety podwodne holenderskie, kontrtorpedowce i krążowniki U.S.A. oraz samoloty bombowe i torpedowe U.S.A. i holenderskie zaatakowały ów konwój japoński, liczący z górą 100 transportowców w eskorcie okrętu liniowego, lotniskowca, krążowników i większej ilości kontrtorpedowców.

Naloty torpedowe sprzymierzonych i ataki z pod i nad wody trwały prawie nieustannie dzień i noc przez 3 doby. W rezultacie /jak wiadomo do dnia 31 stycznia/ konwój „przygnał” do wybrzeża Borneo w porcie Banjermassin i dalej na południe już się nie posuwa. Kosztem 3 samolotów strąconych przez ogień przeciwlotniczy okrętów japońskich, sprzymierzonych zatopili: 1 kontrtorpedowiec /przez holenderski okręt podwodny/, prawdopodobnie zatopili 1 lotniskowiec /okr. podw. U.S.A./, silnie uszkodzili: ciężki krążownik /uszkodziły go samoloty holenderskie/, 5 lekkich krążowników /przez amerykańskie i holenderskie samoloty/, 1 średni krążownik /przez holenderski samolot/ i 1 kontrtorpedowiec /przez holenderski samolot/. Poza tym zatopiono: 3 transportowce /przez holenderskie i am. samoloty/ i 6 transportowców /przez okręty wojenne amerykańskie/.

Prawdopodobnie uległo jeszcze zatopieniu 6 statków przez amerykańskie i holenderskie samoloty i okręty wojenne, podczas gdy

9 ciężko uszkodzono. W następnych dniach nadeszły jeszcze raporty, że prócz ciężkiego krążownika zatonał Japończykom również i okręt liniowy, którego czubki masztów oraz część pomostu sterca z ponad wody. Obliczane jest, że w cieśninie Macassar zginęło około 10,000 żołnierzy japońskich na transportowcach i około 5,000 marynarzy na okrętach wojennych.

STARCIĘ PRZY WYBRZEŻACH PÓŁWYSPIU MALAJSKIEGO

Pierwsze starcie pomiędzy brytyjskimi i japońskimi okrętami nadwodnymi nastąpiło w wschodnich wybrzeżach Malajów. Kontrtorpedowce brytyjskie H.M.S. „Vampire” /marynarka australijska/ i H.M.S. „Thanet” natknęły się podczas patrolu na japoński krążownik i kilka kontrtorpedowców. W krótkim starciu Japończycy stracili jeden z kontrtorpedowców /trafiony torpedą/, a brytyjski H.M.S. „Thanet” poszedł również na dno. Istnieje nadzieja, że z 98 członków załogi H.M.S. „Thanet” wielu zdołało dotrzeć do wybrzeża i zostało uratowanych przez łódź. /Thanet—905 tonn pojemności, wybudowany w r. 1918/. Po starciu Japończycy ujrzawszy inne nadpływające okręty brytyjskie, wycofali się na północ.

H.M.S. BARHAM I H.M.S. GALATEA

W kotle śródziemnomorskim, gdzie Hitler zgromadził zdaje się większość swojej floty podwodnej Atlantyku, gwałtowne zatopienie wzajemne dotąd nie ustało. Anglicy ponieśli przy tym poważne straty w dużych okrętach. Trafiony wielką i bardzo celną torpedą, wypuszczoną z niemieckiego okrętu podwodnego, eksplodował i za-

tonał pod Sollum w przeciagu 4 i ½ minuty okręt liniowy H.M.S. „Barham” /31,000 tonn, 1124 załogi, 25 wozów szyb., 8 dział 15 calowych artylerii głównej. Wybudowany w r. 1914, kilkakrotnie modernizowany/. H.M.S. Barham nosił banderę zastępcy dowódcy Floty Śródziemnomorskiej Vice-Admirala Sir Henry Pridham-Wippell.

Większość załogi okrętu liniowego zdołała się uratować, a między innymi również i admirał Pridham-Wippell. Dowódca „Barham'a” komandor G. C. Cooke i większość wyższych oficerów utonęli lub zostali zabici od razu przy wybuchu.

Admiral Sir Pridham-Wippell /56 lat/ już w wodzie oddał swój pas ratunkowy rannemu marynarzowi. Wyłowiony z wody, czarny od rozlanego oleju, zaintonował wesolą piosenką na szalupie, podchwyconą przez innych. Gdy, usmolony, brudny i obdarty dostał się wreszcie na pokład kontrtorpedowca, bosman tego kontrtorpedowca, nie dostrzegając zasmolonych rękawów admirałskich, krzyknął nań ostro:

—Czego marudzisz? Marsz, umyć się, brudasie!

—Well, — odpowiedział admirał, — jest to jeden z najrozsądniejszych rozkazów, jakie otrzymałem w swym życiu.

H.M.S. „Barham” został storpedowany w listopadzie 1941 r. Ze względu strategicznych strata tego olbrzyma nie była przez Admiralicję wyjawiana, a Niemcy, nie będąc pewni swego sukcesu, napróżno starali się sprowokować Anglików do wyjawienia tajemnicy, ogłaszając kilkakrotnie przez radio wiadomość o zatopieniu „Barham’a”.

W tym samym czasie Anglicy stracili na Morzu Śródziemnym krążownik H.M.S. „Galatea” /15,27/ tonn, 450 załogi, 32 wozów szyb., 6 dział 6 calowych artylerii zasadniczej, 6 wyrzutni torpedowych/.

KIJ MA DWA KOŃCE

Ale kij ma dwa końce i na Morzu Śródziemnym. Brytyjczycy i sprzymierzeni zatopili i zatapiają „osiowcom” nie mniejszą ilość okrętów i statków. W 24 godzinny ataku lotnictwo brytyjskie /R.A.F. i samoloty Mar. Woj./ zatopioło wielki 20,000 tonnowy transportowiec włoski z wojskiem i poważnie uszkodziło okręt liniowy /Klasy „Cavour”?/; krążownik i kontrtorpedowiec. Nie ma dnia, aby okręty podwodne sprzymierzonych i ich samoloty nie zatopili jakiego transportu włoskiego lub niemieckiego. Trzeba podziwiać doprawdy, że w tych warunkach Rommel mógł jednak otrzymać pewne posiłki i rozpocząć nową kontrofensywę w Libii.

PRZYBYCIE AMERYKAN NA WYSPY ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA

Sily podwodne Niemiec nie są jednak tak bardzo wielkie obecnie, aby mogły prowadzić operacje podwodne na dwóch „frontach” na raz. Ataki podwodne na Atlantyku osłabły w sposób zastanawiający. „Doszło już do tego”, że olbrzymi i bardzo ważny konwój wojsk amerykańskich dopłynął do wybrzeży Irlandii w największym spokoju, nie niepokojony podczas drogi nawet alarmem. Konwój ten nie tylko dowiódł wielotyśne oddziały U.S.A. na Wyspy Brytyjskie, lecz równocześnie dowiódł jeden z największych transportów broni, sprzętu i amunicji,

jaki kiedykolwiek w tej wojnie przekroczył Atlantyk.

NOWE OKRETY BRITYJSKIE I AMERYKAŃSKIE

Maszyna produkcyjna U.S.A. i Wielkiej Brytanii idzie w tempie może jeszcze ciagle zbyt powolnym, ale już na tyle szybkim, że straty na morzu zaczynają się wyrównywać materiałem znacznie nowocześniejszym i silniejszym. Na miejsce nieszczęsnego „Prince of Wales” wszedł do służby jego rodzony „brat” „Duke of York”, na którym Churchill po raz drugi przekroczył Atlantyk. Stocznie amerykańskie i brytyjskie pracują gorączkowo. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Amerykanie już zdołali wyrównać stratę okrętów liniowych „Oklahoma” i „Kansas”.

Wielkie bitwy morskie, starcia olbrzymów, wspomaganą przez lotnictwo i okręty mniejsze, jeszcze nadejdą. Będą to starcia potworów morskich, walka jaszczurów przedpotopowych.

Gdy dzień ten nadejdzie, skończy się seria powodzeń Japończyków, która, jak powiedzieli i Churchill i Roosevelt, „może trwać jeszcze przez czas dłuższy”.

ŚWIĘTO POLSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ

10 lutego o 22 lat Marynarka Wojenna Polska obchodzi święto swoje. Na przypomnienie tego faktu i na najjaśniejszą pamięć społeczeństwa polskiego w tym dniu zasłużyli sobie nasi marynarze w sposób najpiękniejszy i najskuteczniejszy. Jesteśmy z nich dumni i szcycimy się nimi. Podeszaj obywateli poszczególnych okrętów skarżyli się jednak nasi chłopcy, że „mało się o nich pisze w stosunku do ich pracy, trudu i wysiłków”. „Wydać mi się, że żal ten jest słuszny. Rzeczywiście „mało się o nich pisze.” „Polska Walcząca” jedyna, która jak tylko może przypomina Polakom, że mają swoją walcząca, i to dobrze walcząca, Marynarkę Wojenną.

Obok „Polski Walczącej” pismo morskie, wydawane sumptem ludzi zapalnych: „Polska na Morzach”... I... to wszystko!... Nasza zawodowa „elita literacka” woli się grzebać w „potępieniach swarach” lub opisywać swoje przeżycia londyńskie, niż... wzięć się do służby dla polskiego marynarza, lotnika, żołnierza.

Londyn 1 lutego 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Wojna na morzu

Pomoc dla Polaków w Rosji

Personel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych złożył z poborów lutowych na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £23. 10sh.

Redakcja Polski Walczącej, Londyn, W.C.2.

W załączeniu przesyłam British Money Order L.K.41790 na sumę £2 5sh. 9d. złożoną przez podoficerów i szereg. M.W. na rzecz Polaków w Rosji z prośbą o przekazanie wyżej wymienionej kwoty do P.C.K. w Londynie.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

Redakcja „Polski Walczącej”

w myśl pięknej hasła wysuniętego przez p. W. Budzkiego załączam 5sh. na Fundusz „Polak Polakowi bratem” na konto „Pomoc dla Polaków w Rosji”.

Will you kindly accept enclosed 5sh., being fee for medical examination which dr. W. S. Scade refused to take from me as I am a refugee—for Poles in Russia.

Zofia Kw-ska

Panowie Tunicki i Stefaniak złożyli na pomoc Rodakom w Rosji—£0.10.0.

Ponadto otrzymaliśmy na pomoc dla Polaków w Rosji od polskiego pilota 10sh. „zamiast jakiegokolwiek przyjemności na terenie angielskim”, od kaprała F.S. 10sh., od podch. M.B. 5sh. „zamiast półsiedla do kina”, od st. strz. K.L. 5sh., od p.J.Z. 10sh.—nieprzyjęte honorarium za artykuł w „Polsce Walczącej”.

Łączna suma /wraz z udziałem p. Adama Ordegi; por. „Skrzynkę pocztową” w wysokości 32£. 10sh. została przekazana Polakiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Bez black-outu

ruch naszych myśli, ile konfederacja naszych uczuć, dokonana w tej chwili.

I jeszcze coś ważniejszego: akt z 23 stycznia to dowód, że nauczyliśmy się współpracy. To bardzo wiele, bo trzeba otwarcie przyznać, że do tej pory byliśmy rekordzistami psucia i zaturawania każdej współpracy. W tym samym tygodniu zaszyły także na naszym froncie wewnętrzny poważne zmiany. Słuchaliśmy w Szkocji z pełnym szacunkiem radiowego przemówienia ministra Seydy. Oczywiście na sposób polski komentarzy wśród słuchaczy było co niemiara. Ale jedno pozostało niezatarłe i niekommentowane: radość w oczach, że mówi się o sprawach najbardziej zdradzionych, nadzieja, że to początek naszej konfederacji wewnętrznej, pod którą zawsze podpiszę się bez wahania żołnierz polski.

Potrzeba takich wrażeń, takich przeżyć, których jedności jest ogromna. Głód konfederacji wewnętrznej jest co raz poważniejszy, dla tego apelujemy o więcej prawdy, o więcej prostych, szczerzych słów: w prasie, na antenie, w przemówieniach oficjalnych i nieoficjalnych. Tym więcej, że żołnierz polski znajduje się w tej chwili pod ostrzałem nieodpowiedzialnych, często warcholnych cekaemów papierowych, pod ogniem ciężkiej artylerii intrygi i miotaczy plotek, które kalcą niekiedy duszę, a napewno ranią serce. Akt konfederacji wewnętrznej polsko - polskiej z jakimś historycznym punktem 12 szczerzym i odważnym wyraża się nieodwołalnie i bardzo pilny.

Nieprawdą jest, że żołnierz polski w czekaniu i „zbrojnym bezrobociu” zmarniał, zmiękł. Niezawodnie nie brak błędów, nawyków i wad, o których wiemy, mówimy i otwarcie piszemy. Ostatnie jednak manewry na wielką skalę, prze-

prowadzone w Szkocji, dały odpowiedź strategom kawiarnianym, którzy przy czarnej kawie odprawiali „requiem” nad postawą i gotowością tego żołnierza. I tym także, którzy doradzali „urlopować go bezterminowo” dla ukończenia politechniki w Ameryce. Manewry te, których wyniki nieoficjalnie chodzą w „legendzie” po żołnierskich izbach i szkockich domach, wzmocniły polską twierdzę w Szkocji: wykazały raz jeszcze naszą tradycyjną wartość bojową. I jeszcze coś bardzo „important”: odroczyły na pewien czas złośliwą, antypolską nagonkę plotek dancingowo-halabardowo-bokserskich.

Miniony tydzień obfitował także w inne, ciekawe zdarzenia. N.p. we środę dowiedziałem się z radia, że w Norwegii wprowadzono w stosunku do ludzi współpracujących z okupantem oryginalną karę: „utrata zaufania publicznego”. Gdyby tak pomyśleć nad przystosowaniem tej „utrata” do ludzi, którzy nie umiemy u nas współpracować z własnymi rodakami? Warto się zastanowić...

Na moim własnym odcinku tygodniowym mam także do zanotowania kilka ciekawych epizodów:

We czwartek skarzył mi się pewien starszy strzelec, że zatrzymano został na ulicy przez kaprała, który z przeciwej strony ulicy upomniał się o ukłon dla siebie. Oj niedobrze! Ukłon mu się należy, ale do tej pory na tym szczeblu takich incydentów nie było. Czyżby już i kapralom brakło poczucia humoru?

W piątek zwierzył mi się ze swoich kłopotów jeden z kolegów, który zaniósł swoje buty wojskowe do naprawy w drodze służbowej. „Właściwa władza” kazala mu trzy razy zmienić format i tresz karteczki z nazwiskiem, doczepionej do buta. Są podobno ustalone wymiary karteczki, długość sznu-

reczka, kierunek zwisania i środek przyczepienia... Nie do wiary a jednak prawdziwe. „Właściwa władza”, pomiejaj, że biurokracja, to wróg nr. 1 demokracji. Porządek musi być, oczywiście, ale na miły Bóg, przyjmijcie raz do wiadomości, choćby z bólem serca, że stary „general Schimmel” musi odejść bezpowrotnie z armii polskiej. To będzie zgodne z duchem konfederacji zewnętrznej i wewnętrznej.

W sobotę dostałem list z Ameryki od znajomego polskiego operatora filmowego. List był krótki, ale powinien zaciekać „właściwą władzę”, tym razem cywilną. Doświadczony operator filmowy K. przebywający w Ameryce, stara się bezskutecznie od dłuższego czasu o wyjazd do... Rosji. Tak jest do Rosji. Chce jechać. Z raju amerykańskiego, spod nieba Kalifornii chce jechać tam. Chce stworzyć polski reportaży filmowy dokumentarny, chce filmować armię polską. Ten sam operator K. ma równocześnie propozycję do Hollywood. Trudny wybór—prawda? Do Londynu wystął „umotywowane podanie” z załącznikami—z Hollywoodu, przyszedł wytworzyć list z zaproszeniem do współpracy. Trudny wybór, a jednak operator czeka na odpowiedź „właściwej władzy” z okolic Green Parku londyńskiego.

O co stara się petent? O przewidywany barak w Rosji przy 40 stopniowym mrozie, o trud włożenia się po rosyjskich dalekich przestrzeniach, o pokonywanie męstychnanych trudności rozmaitego typu. W Hollywood czeka na niego komfort, ciepłe słońce i... gorące gwiazdy. Chłopak jest młody, energiczny, ale „nie ma pleców”, więc staram się go podeprzeć moim cienkim piórem i zapytać, czy w drodze wyjątkowej protekcji może zamienić Hollywood na Buzuluk? Incydent raczej smutny ze starej, nie prze-

wietrzanej teki urzędowej, daleki od ducha konfederacyjnego.

Weselsza już jest gazeta, którą otrzymałem w niedzielę z Kanady. Podaje kilka próbek, ogłoszeń, pierwszych z brzegu gwoli rozrywki umysłowej:

„Potrzebna dziewczyna lub kobieta do pracy domowej bez gotowania. Może spać na miejscu lub według życzenia.”

Mimo woli nasuwa się pytanie, do czego „według życzenia” jest potrzebna ta osoba?

„Ekspert wróż z listków herbacianych w filizance.”

Może spróbujemy wróż z zupy żołnierskiej w kotle. Jeżeli jest bardzo rzadka, wróżba może się udać.

Ogłoszenie zakładu fotograficznego: „Fotografujemy rodziny, kolorujemy i powiększamy.”

Koledzy, nie „kolorujcie” i nie „powiększajcie” rodzin „somewhere in Scotland.”

Ogłoszenie piekarni: „Gatunek idzie przed owijaniem.”

Oto jest pytanie. A może owijanie przed gatunkiem? Krzyżówka. Rozwiązujcie.

Ba, nie tylko reklamują się piekarnie i wróżbita. Mają także swoje wielkie ogłoszenia kandydaci do rady miejskiej, którzy tak się zachwalają na ostatniej stronie pisma:

„Obywatele. Głosujcie na E. Vogelmana. Zaręczam, że sumiennie będzie zatwiał sprawy miastowe. Człowiek rozsądny i sprawiedliwy. Zamieszkały w mieście przez 21 lat.”

Można się czegoś nauczyć. Gdyby tak nasi kandydaci na radców narodowych spróbowali?

Koniec tej kroniki obfitego w wydarzenia tygodnia, proszę Was Koledzy i Drodzy Czytelnicy, pisujcie do mnie, jak dotychczas zwierając się z bolączek, niedomówień i kłopotów, a zaręczam: „że jako człowiek rozsądny i sprawiedliwy, sumiennie będę Wasze sprawy zatwiał. Zamieszkały w Szkocji przez 19 miesięcy...”

WIKTOR BUDZYŃSKI

Darujecie mi napewno, Kochani Koledzy i cierpliwi Czytelnicy, że dzisiaj rozmowa moja z Wami będzie tematycznie dość rozmaita. Będzie raczej kroniką, aniżeli rozważaniem określonego zagadnienia. Przyczyna bardzo prosta: czuję się swobodny... czuję wolność osobistą, wolność słowa i prasy, chcę Wam dużo dzisiaj opowiedzieć, czuję dostęp do wszelkich funkcji państwowych, czuję się równy wobec prawa—innyimi słowy jestem pod wrażeniem konfederacji polsko-czechosłowackiej.

Stąd więc, jeżeli moja wolność osobista dzisiaj ucierni, albo moje wolne słowo przemienione zostanie w czerwoną kropkę nad „i” obywatela-cenzora, to będzie tylko wina dwóch państw skonfederowanych, które punktem 12-ym tego historycznego aktu dokonały przewrotu w mej głowie. Czuję się odurzony nadmiarem świeżego powietrza. Ten punkt 12-y, to na razie wprawdzie tylko skromna drukowana inhalacja, ale fakt istnienia tego punktu porusza myśl która zaczyna jaśniej patrzeć w przyszłość.

Równość... wolny dostęp... swoboda... kontrola rządów. Czytam po kilka razy, rozkoszuję się każdą literką. Ten historyczny punkt 12, to wyrok śmierci na polską protekcję, na czlowieka „z plecami”, to niestawna śmierć starych metod „trzymania za mordę”, to koniec kultu niefachowości, to uroczyście gwarancja, że każda funkcja państwowa będzie w przyszłości dostępna nie tylko dla b. pułkownika, ale i dla b. podchorążego, b. sierżanta, b. szeregowca, których wola narodu czy specjalne uzdolnienia i kwalifikacje powołają do odpowiedzialnej i trudnej służby.

Pierwsza to na emigracji wypowiedź w tej skali. Tak szeroka, tak ożywcza. Dlatego nie tyle ważny jest fragment z punktu 10-go ten „ruch osób pomiędzy państwami, należącymi do konfederacji”, ile ruch naszych serc,

Z życia obozów

"Czołgiem" kompania



W drodze na stanowiska wyjściowe



Karabin maszynowy na stanowisku

NARESZCIE CZOŁGI!

Kiedy, rok temu z górą, wylądowaliśmy po klęsce francuskiej na brytyjskiej wyspie wolności i obsiedli szkockie wzgórza popołu: ulani w piechotę, artylerzyści z saperami i pancerniakami—słyszało się nieraz nieco ironiczne pozdrowienie: "czołgiem kompania"! Stosowano je złośliwie przeważnie do czarnobereciarzy, którzy czasem wyrażali gniew z tego powodu, czasem uśmiechali się smutno. Ci istotnie do sprzętu szczęścia nie mieli! Zabrakło czołgów w tragicznym wrześniu, później we Francji, ledwie niektóre oddziały "wyfasowały" sprzęt pancerny, zanim zdołały się nim nacieszyć, już trzeba go było zniszczyć, aby nie wpadł w chciwe łapy niemieckie. Kilkanaście francuskich ciągników i działek ppanc., ocalonych przez Podhalan, to był—jak się zdaje—cały "ciężki sprzęt" naszego wojska po odwróceniu z Francji.

Jednak i czołgiści się doczekali. Otrzymali już czołgi jak się patrzy, solidne. Nie jakieś tam wysłużone graty do ćwiczeń, ale rzetelny sprzęt bojowy, nowiutki, "prosto z igły." Radość więc była w wojsku pancernym wielka, a zapal do ćwiczeń ogromny. Doskonali kierowcy, świetnie wyszkoleni mechanicy dorwali się nareszcie maszyn. Niebawem i sposobność do ich wypróbowania się znalazła, gdy Sir Allan Brooke, naczelny Wódz Home Forces w towarzystwie generała, dowódcy I. Korpusu odwiedził polskie oddziały w Szkocji.



Akcja samarytańska

PRZED GODZINĄ "ZEROWĄ"

O godzinie 9 rano grupują się w lesie czołgi, wyznaczone do przeprowadzenia zadania, na zachód od zwykłego miejsca postoju. Po rozprowadzeniu na drogi wylotowe, maszyny zjeżdżają z szosy na bok, pod drzewa, a załogi przystępują do wykonania kamuflażu. Stroją się czołgi niczym panny do ślubu i po chwili każda maszyna jest już pięknie umajona gałązkami—i niewidoczna pod drzewami z góry niemal zupełnie.

Tymczasem na skraju lasu od-

współdziałania. Zajeżdża wóz z radiostacją, jako centralą łączności, przelatuje pędem patrol motocyklistów, nadciąga wreszcie w kolumnkach piechota i zajmuje stanowiska. Kamuflaż doskonały.

Następuje teraz z kolei nawiązywanie łączności pomiędzy czołgami a piechotą, w czym pomagają małe radioaparaty przenoszone na plecach. Zjawia się i "omentra"—obserwator artyleryjski i przykleka pod drzewem ze swoją lunetą. Motocykliści wrócili już z wywiadu i czekają ukryci pod drzewami; jeden z nich ma nawet sposobność do udzielenia pomocy sanitarnej... zajęczkowi, który wpadł w jakieś kłusownicze sidła. Po chwili mały kłapouch, uwolniony, z zabandażowanymi skokami goni jak opętany w tył, poza "pole bitwy."

"SKRZYDLACI TOWARZYSZE"

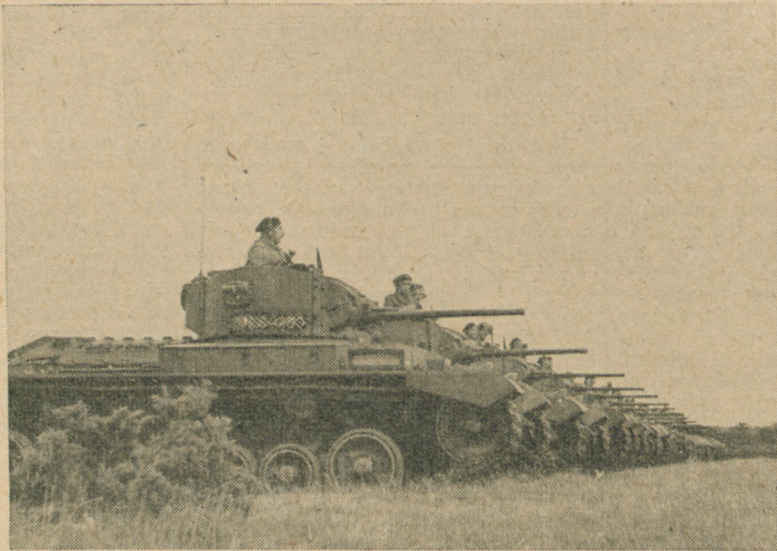
Już niewiele minut dzieli nas od "godziny zerowej." Padają ostatnie rozkazy, ten i ów sprawdza i dociąga rzemienie oporządzenia, gdy wtem jakieś brzęczenie w górze daje się słyszeć mimo pukający karabinowej piechoty. Gwar w powietrzu wzmagą się szybko, oto już na horyzoncie ukazują się dwa klucze samolotów w szyku bojowym. Maszyny zataczają wielki łuk w powietrzu i kierują się nad wzgórze "zajęte i umocnione przez nieprzyjaciela." Nagle prowadzący samolot obniża się, a za nim, jak jastrzębie na łup, spadają inne. "Pikują"—poszedł szmer po zaroślach obsadzonych przez piechotę. Powietrzem wstrząsają detonacje, dym zaściela bombardowane wzgórze.

To lotnicy dywizjonu współpracy, czyli pospolicie zwani: "towarzysze" obrabiają bombami wzgórze, aby utorować drogę czołgom i posuwającej się za nimi piechocie. Chwila przerwy, maszyny zawracają, nabierają wysokości i ponownie nurkują nad celem siejąc bomby. Zadanie wykonane. Samoloty odlatują z nad wzgórze i znikają w chmurach, które szybko pokrywają czysty do tej chwili nieboskon.

Kiedy później piechota zaczęła się zagospodarowywać na "opanowanym" wzgórzu, przekonano się, że bombardowanie było niezwykle celne i skuteczne.

RZNIJ VALENTY!

Dokładnie o godzinie 13.00 pada rozkaz rozpoczęcia natarcia. Z



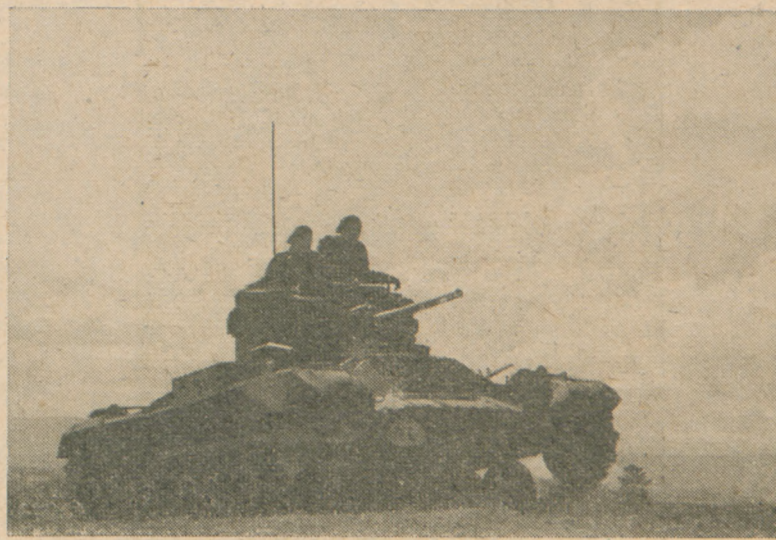
Czołgi gotowe do przeglądu po akcji

bywa się odprawa dowódców, odbywa się dokładne studiowanie map terenowych, dowódcy mniejszych jednostek otrzymują wyjaśnienia. Godzina 13.00 została wyznaczona jako "zerowa." Kończy się odprawa i dowódcy śpieszą do maszyn.

Załogi są już w pełnym pogotowiu. Krótki rozkaz i wszyscy zajmują swe miejsca: kierowca, strzelec i dowódca, który równocześnie jest radiooperatorem. Dowódcy plutonów sprawdzają łączność radiową: w powietrzu krzyżują się tajemnicze kody i zawołania. Łączność nawiązuje także dowódca całości. Porządek jak w zegarku, wszystkie czołgi są "w garści."

Na dany znak kolumny czołgów ruszają na stanowiska wyjściowe, szybko przejeżdżają las, mijają wieś, wspinają się na wzgórze, aby błyskawicznie stoczywszy się w dolinę do drugiego lasu stąd już ruszyć do akcji.

Zanim jednak ta chwila nadejdzie rozpoczyna pracę cały aparat



Jadą czołgi...



Radiostacja batalionu odpoczywa

jej cekaemów i karabinów świadczy, że napór się wzmagają. Czasem któryś z pędzących czołgów znika nagle za zasłoną dymną i chwila upłyne, zanim znowu wynurzy się z szarego obłoku, jak przedpotopowy smok z jaskini.

Pogoda psuje się zupełnie. Nadciągają nowe zwały niskich chmur i deszczuk siąpić zaczyna, grunt wilgotniejszy, ale natarcie nie traci rozpędu.

"Nieprzyjacieli" także nie próżnuje i nie czeka biernie. Lecą petardy pod gasienice czołgów, huk wstrząsa powietrzem, dym przesłania widok na chwilę. Nie wstrzymuje to ataku; czołgi suną

na i stopy sandwiczów i przekąsek udośćnionych. Zewsząd ciśnie się głodna wiara, pojawiają się kubki gorącej herbaty i gwarny krąg otacza co raz szczelniej "ruchomą kantinę." I ten obiekt także został zdobyty.

Powoli jednak łamie się "pierścień obleźnicy"; drobne grupki czołgistów i spieszonych ulanów rozkładają się na trawie, z której słońce już zdążyło wypić wilgoć deszczu i zaczyna się koleżeńskie omawianie tego, co się działo w "ogniu."

CZAS DO DOMU CZAS

Równocześnie w innym miejscu odbywa się omówienie przebiegu ćwiczeń, które nie najgorzej chyba wypadły, skoro dowódcy mają po odprawie zadowolone miny. Raz jeszcze rozlega się łoskot zapuszczanych motorów: czołgi ruszają i ustawiają się do przeglądu. Ustawia się długi szereg, groźnie najeżony lufami dział.

Jest godzina 16 po południu, gdy długi wąż stalowych maszyn wyciąga się z powrotem ku miejscu postoju. Na dobrej, gładkiej szosie "Valentine'y" mkną szybko wśród chrzęstu gasienic, mijają spokojnie wioski, przejeżdżają wśród pól, na których pracujący żniwiarze przerywają na chwilę pracę, powiewając chusteczkami, wjeżdżają w las i giną w oddali.

Ale kiedyś, może już ta chwila niedaleka, spłyną czołgi ze szkockich wzgórz, przemierzają pędem doliny i wynurzą się groźne, ogniem zionące na tamtym brzegu, jako niezwalczona szturmowa kolumna zwycięskiego powrotu.

LUDWIK BOJCZUK,
STANISŁAW ROCHOWICZ
Zdjęcia
STANISŁAWA ROCHOWICZA



Wykonanie kamuflażu

ODSIECZ KANTYNOWA

Zajeżdża auto specjalne—dar z Ameryki—otwiera się tylna ścia-

Szkic sytuacyjny



ZWYCIĘSTWO CHURCHILLA

Premier brytyjski odnosi w parlamencie nielada zwycięstwo. Wierni swojej tradycji mówienia prawdy, nie zataja, że " pewne rzeczy wzięły zły obrót i że należy oczekiwać jeszcze gorszych wieści." Ale równocześnie podkreśla, że jeżeli w walce jaka szaleje na globie rzucimy ostatni łut energii, to walka ta będzie wygrana. Innymi słowy Churchill — znowu wierny swojej tradycji z okresu Dunkierki—powiada, że wojnę tę wygrać można tylko największym nateżeniem sił i energii i że automatycznego zwycięstwa nie ma.

Dojrzały naród angielski przyjmuje tego rodzaju lekcje. Parlament głosuje za Churchilllem. Ale i premier pod wpływem głosów

krytyki, postanawia iść na pewien kompromis i stworzyć *ministerstwo produkcji*. Zagadnieniu produkcji wojennej poświęci rząd brytyjski więcej uwagi, głównie zaś sprawę koordynacji wytwórczości wojennej, celem uniknięcia rozmaitych skrzepów, sporów, opóźnień.

Bój Churchilla na terenie parlamentu był doskonałym przykładem *prawdziwie demokratycznej gry sił*: autorytetu, który rośnie przez powiedzenie gorzkiej prawdy w oczy oraz korzyści, jaka maż stanu czerpać może zawsze z krytyki.

DALEKI WSCHÓD NAPAWA OBAWĄ

Oczywiście, obawy społeczeństwa angielskiego w sprawie

Dalekiego Wschodu nie zostały rozproszone. Społeczeństwo to odczuwa żywo te wypadki: dla Anglika pojęcie Singapuru to coś, jak dla nas pojęcie Wilna czy Lwowa. Dlatego doniesienie, że wycofano się z ładu stałego na Malajach i że Singapore, leżący na wyspie, jest obecnie obleżony przyjęto w Anglii z zaniepokojeniem.

Singapore winien się bronić przez czas dłuższy; przepowiednie w tej mierze są zawodne, a wszystko zależeć tu będzie od zaplecza, przede wszystkim *lotniczego*. Jeżeli trzy lotniska Singapuru, posilkowane lotniskami—czy lądowiskami—na Sumatrze, potrafią oporać się z "Blitzem" lotniczym uprawianym przez Japończyków, to wówczas obleżenie Singapuru potrwać może długo. Nie zapominajmy zaś, że w maju nastaje *pora monsunowa* i że wówczas na znacznym obszarze Pacyfiku lotnictwo będzie częściowo unieruchomione, częściowo mocno w akcji ograniczone.

Z tej racji Japończycy śpieszą się. Nie wiemy, czy istotnie mają oni aż 100.000 żołnierza na lądzie stałym na Malajach, jak to donoszą niektóre pisma angielskie, czy mniej, w każdym razie ich przewaga liczebna i materiałowa jest ogromna i szczupła armia brytyjska, która znajdowała się na Malajach nie mogła stawić odpowiednio skutecznego oporu.

Japończycy zasilają niewątpliwie swoje armie we wszystkich punktach, a transporty żołnierza japońskiego płyną, mimo bombardowania amerykańskiego i brytyjskiego. Flota japońska nie napotyka na większy opór, gdyż siły amerykańskie związane są na Atlantyku i nie opuszczają go a brytyjskie trzymają zarówno straż na Atlantyku jak i na Morzu Śródziemnym, które jest dla Imperium bardzo doniosłe, jeżeli nie o wiele donioślejsze niż Daleki Wschód.

WAGA AFRYKI

Znaczenie Afryki dla przebiegu wojny na Bliskim Wschodzie, dla basenu Morza Śródziemnego, dla Rosji, dla całego wreszcie przebiegu wojny—jest *niezmiernie*. Dlatego też postępy Rommla śledzone są przez znawców brytyjskich z największą uwagą. Rozumieją oni, że utrata *Benghazi* jest zjawiskiem niepomysłnym i że trzeba za wszelką cenę raz jeszcze cofnąć Rommla i zlikwidować paskudnie trudny problem Trypolitanii.

Rommel jest dzisiaj słabszy aniżeli był w listopadzie 1941. Za tym wnioskiem przemawia wiele. Z drugiej jednak strony uzyskanie przez niego *Benghazi* w tak szybkim tempie dowodzi, że pragnie on przez to właśnie *Benghazi* zasilac się od strony Sycylii i stałego ładu Włoch. "Blitz" lotniczy skierowany na *Malte* przez Niemców, posilkowanych Włochami, dowodzi, że państwa osi chcą chronić swoje linie zaopatrzenia i że pragną unieruchomić *Malte*.

Do nastania w Libii upałów niewiele stosunkowo zostało czasu. Z tej też racji należy oczekiwać jakichś szybkich a wcale decydujących poruszeń na tym obszarze. Jeżeli Hitler podejmie naprawdę działania w strefie Morza Śródziemnego podjąć je winien w *lutym*. Jeżeli luty minie spokojnie, wydaje się, że nie powinno być żadnych nadmiernych niespodzianek aż do kwietnia, kiedy ofensywa niemiecka w Rosji musi być podjęta—o ile Rzesza będzie mogła się na nią zdobyć *w tych rozmiarach*, o jakich marzy.

FRONT SOWIECKI

Rosjanie idą powoli, ale metodycznie na przód. Zaniepokojenie, jakie fakt ten budzić musi w Rzeszy, jest zrozumiałe: dla przeciwnego Niemca stała utrata terenu na rzecz wojsk sowieckich nie

wróży niczego dobrego, straty w ludziach na skutek mrozu dowodzą, że ich moral i postawa nie będzie najlepsza *i na wiosnę*, gdyż żołnierz niemiecki nabrał w stosunku do Rosji *niechęci połączonej z pewnym zabobonnym lękiem*. Jest to pierwsza kampania, która nie tylko nie przyniosła łatwych zwycięstw, ale nie przyniosła żadnych *"mitych chwil"*. Nic w tej kampanii z zwycięstw francuskich, z doskonałych kwater, poczucia panów świata w cudownym kraju. Rosja zapadła w pamięć żołnierza niemieckiego jako kraj ponury, kraj grozy.

Odrodzenie wojska niemieckiego na wiosnę nie będzie łatwym zadaniem; odtworzyć je w jego *wartości bitewnej*, to chyba już niemożliwe. Zakłady zbrojeniowe Niemiec pracują napewno ze zdwojoną energią, fabryki w krajach podbitych mżolą się napewno ogromnie, ażeby nadażyć i ażeby wyrzucić odpowiednią ilość sprzętu. Ale nawet jeżeli produkcja niemiecka silnie się wzmoże, nawet jeżeli czołgów tych będzie nowe tysiące a maszyn grube setki—czy starczy tego na produkcję sowiecką, która też *nie spi?*

Wątpliwości tego rodzaju muszą przenikać do mózgowicy przeciętnego Niemca. Rosja co raz bardziej wydaje mu się jakimś przekleństwem, jakimś sakiem, w który wpadła armia niemiecka, *beczką bez dna*. Złudzenia i *marzenia* na temat Rosji i Ukrainy, kraju obfitości, *upadły*. Pozostała naga prawda: konieczność walki w kraju, który jest wrogi już *w samym swoim krajobrazie i klimacie*. Dlatego to wiosenna kampania w Rosji, zapowiadana tak hucznie przez Hitlera w jego ostatniej mowie, *nie wzbudza napewno entuzjazmu w Rzeszy*. Londyn, 1 lutego 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze, Można pogratulować "Polsce Walczącej", że swoimi ciągłymi apelami w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji wysunęła je jedną z najważniejszych i najpilniejszych naszych aktualnych potrzeb w świadomości opinii Polaków w Wielkiej Brytanii na miejsce czołowe. Głosy p. A. Mamrota, A. Kujawskiego dobrze się przysłużyły sprawie, której chwilami groziło utonięcie w wirze rozgrywek politycznych. Zbiórki w dniu 31 stycznia w polskich biurach rządowych, podjęcie inicjatywy "Polski Walczącej" na łamach "Dziennika Polskiego" przez ludzi uczciwych, wrzliwych na nędzę, jak p. K. Leskowiec, świadczy, że sprawa zaczyna z wolna ruszać z martwego punktu. Jest teraz rzeczą prasy zwłaszcza Pana organu, by ofiarność nie wytądowała się w odruchu jednorazowym, lecz przybrała charakter stałego opodatkowania.

Obok tej sprawy—pomocy materialnej dla Polaków w Rosji—zaczyna się tu teraz jednak w stosunku do Polaków z Rosji w opinii polskiej emigracji w Anglii

JEZELI SZUKASZ POKOJU LUB LOKATORA

zwróć się do Billy BIURO POSREDNICTWA MIESZKAN UMBLOWANYCH,

17a, Goldhurst Terrace, N.W.6, naprzeciwko John Barnes. Tel.: MAIda Vale 5524. Otwarte codziennie bez przerwy, także w soboty

Kierownik Biura Konstruktoryjnego poszukiwany przez Organizację Inżynierów w N.W. Londynie. Wymagane pierwszorzędne doświadczenie mechaniki rysowniczej i wiadomości teoretyczne z tej dziedziny. Pożądana znajomość angielskiego, niemieckiego lub francuskiego. Zgłoszenia do Berry Co., 437, Grand Bldgs., Trafalgar Square, W.C.2—Box No. 56.

SPIS RZECZY

Zbigniew Grabowski: Oskarżenie narodu. — Czesław Poznański: Franklin Delano Roosevelt. — Edward Żywoń: Roosevelt do Narodu Polskiego. — Archibald Wavell: Żołnierz i mąż stanu /przekład Jana Meysztowicza/. — Adam Kowalski: Święty Boże. — Dzim Roski: Reportaż z Brazylii /korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Porucznik Herbert: Żądło "Genowefy". — Działalność Lotnictwa Polskiego w Wielkiej Brytanii. — Bohdan Pawłowicz: Wojna na morzu. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Wiktor Budziński: Bez black-outu. — Ludwik Bojczuk i Stanisław Rochowicz: "Czołgiem" kompania. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Skrzynka pocztowa. — Ryśunki Zdzisława Borysowicza, Jana Rościszewskiego /Tom Titt/ i Artura Horowicza. — Jedna mapa. — Fotografie.

Skrzynka pocztowa

ujawniać inny, wysoce niepokojący fakt. Jest nią sprawa postawy pewnych polskich pism politycznych wobec opinii, przekonań i nastrojów dwumilionowej masy polskiej w Rosji. Zaczyna się mianowicie szerzyć sugestia, że ta masa potrzebuje opieki, litości, współczucia z naszej strony, ale że z powodu swego odcięcia przez blisko dwa lata od wojny i życia politycznego jej sąd o wypadkach aktualnych nie liczy się, nie może poważnie wchodzić w rachubę. Sugeruje się między wierszami, że ta masa jest biedna, ale politycznie niedojrzała, po prostu zbyt niewyrobiona, by mogła zabierać głos w sprawach publicznych.

Tego rodzaju sady wypowiadał kilkakrotnie p. Mackiewicz. Znając jego poglądy z dawna nie można się temu było dziwić, ale dziwić się można, że zaczynają one teraz w formie bardziej zawaolowanej przenikać także na łamy spokojnie dotąd redagowanej "Myśli Polskiej." W "Notach i uwagach" w nr. z dnia 20-go stycznia takie znamienne czytamy spostrzeżenia: "Ci męczennicy, odcięci od świata i możliwości wyrobienia sobie własnego sądu, biedni, głodni, najwyższej litości i opieki godni, mają teraz wydawać opinie o sprawach międzynarodowych, do których potrzebna jest długa obserwacja i drobniagowa znajomość walczącego globu ziemskiego."

Można rozumieć, że są różnice zdań co do paktu polsko-rosyjskiego

wśród Polaków. Można także rozumieć, że nawet w łonie jednego stronnictwa jedni wolą wyczekać i uchylać się od ciężkiego brzemienia odpowiedzialności, gdy drudzy przemawiają szranki solidarności partyjnej i ponad nią stawiają chęć współpracy, chęć współtworzenia nowej rzeczywistości. To wszystko można rozumieć, gdyż to są normalne w każdym społeczeństwie różnice zapatrywań i poglądów.

Ale nie można rozumieć, nie można się godzić, a nawet trzeba głośno protestować, gdy ktoś tak jest zadufany w swój rozum polityczny, że niemal odmawia prawa zabierania głosu w sprawach publicznych wielkiej, dwumilionowej masy Polaków w Rosji. Dlatego tylko, że to nie odpowiada jego aktualnym konstatacjom politycznym.

Jest to droga śliska i niebezpieczna. Gdy ktoś na nią wkroczy ani się obejrzy, że może potem łatwo i całej masie kraju odmówić prawa głosu, bo i o niej można równie łatwo powiedzieć, że jest "odcięta od świata i możliwości wyrobienia sobie sądu własnego, biedna głodna, najwyższej litości i opieki godna".

Nazywając rzeczy po imieniu, bez ogródek, znaleźliśmy się na drodze niebezpiecznej demagogii antydemokratycznej. Wyobraźać sobie, że "długa obserwacja i drobniagowa znajomość walczącego globu ziemskiego" u jednego człowieka jest

więcej warta, niż rozum i doświadczenie dwumilionowej masy—coś w takim rozumowaniu jest w grubym nieporządku, mówiąc to tylko prostym zdrowym rozsądkiem. Bo nawet przyjaźny założenie, że ta masa była długo pozbawiona informacji, czyż należy sądzić, że uyskawszy do nich dziś dostęp—dziś w dwudziestym wieku, w dobie radia i prasy—nie potrafi tych braków szybko nadrobić?

Ta zaś masa ma w swym doświadczeniu życiowym coś, czego brak współpracownikom londyńskich pism. Ma taką sumę cierpień, przeżyć i związanych z tym przemyśleń, rewizji najbardziej zastarzanych schematów myślowych, że w swej zdobytej trudem świeżości umysłowej może mieć bardziej niezawodny instykt, bardziej niezawodne wyczucie prawdy i konieczności potrzeb Polski, niż my tutaj. Nie ma wątpliwości co do tego chyba, że na szali dziejowej więcej ważyć będzie postawa tych mas, które wysłucheliśmy w cierpieniu, niż megalomania dziennikarzy, przykrawających dowolnie rzeczywistość do miary swych potrzeb partyjnych.

Trzeba się zastrzec, aby ktokolwiek choćby na chwilę pozwalał sobie arogować prawo dyskryminowania głosu dwumilionowej masy polskiej. Czy nie zdaje sobie sprawy, że te masy jakże szybko w ogniu wojny dojrzejawiają, i że nie pozwoła nikomu na usuwanie siebie poza nawias życia publicznego?

Zamiast odmawiać Polakom w Rosji prawa zabierania głosu w sprawach publicznych, zamiast niewczesnego ironizowania na temat "płomiennych apeli" w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji, będzie lepiej, gdy zdobędziemy się ponad różnicami politycznych przekonań na solidarną, wspólną pracę w kierunku zebrania największych środków dla ulżenia ich ciężkiej doli. To nasz elementarny i jedyny obowiązek w tej chwili wobec tej jakże ciężko dotkniętej masy polskiego społeczeństwa.

Adam Oręga

P.S. Wezwany przez p. Pawła S. w "Dzienniku Polskim" z dn. 2-go lutego 41 składam na ręce Pańskie, Panie Redaktorze, kwotę £4. Robię tak dlatego, że "łańcuch ofiar" załączony przez "Dziennik" nie wydaje mi się załatwieniem właściwym i całkowitym sprawą pomocy dla Polaków w Rosji. Jestem zwolennikiem *dobrowolnego, powszechnego, progresywnego i stałego opodatkowania* osób cywilnych i wojskowych. Zwracam się do Pana z prośbą aby "Polska Walcząca" nadal szerzyła to hasło. Taki *zbiorowy* odruch dałby większy rezultat materialny, a i jego znaczenie moralne dla Polaków w Rosji byłoby o wiele bardziej doniosłe. Spełniłaby się wtedy myśl, której służył organ Pana od chwili apelu p. St.Sz. w dniu 4 października 1941, realizowanego stale w każdym numerze, poczynając od dnia 13-go grudnia 1941.

Poszukuje Jakóba REINGEWIRTZA, lat 28 zamieszkałego przed wojną w Warszawie przy ul. Pańskiej. Łaskawe wiadomości Constance Sandham, 44, Gray St. Workington, Cumb.

Dnia 12 stycznia 1942 nastąpiło otwarcie

POLYGLOT TRANSLATION SERVICE LTD.

Polskie Biuro Tłumaczeń. Pokój 272, Terminal House (naprzeciw stacji Victoria), 52, Grosvenor Gardens, Tel.: SLO 7059. Przyjmuje się tłumaczenia we wszystkich językach Europejskich oraz tłumaczenia: handlowe, prawnicze, naukowe, literackie i techniczne. Stenografia i pisanie na maszynie w językach obcych. Redagowanie podań i dokumentów oficjalnych. Lekcje języków. Dla Polaków ceny niższe.

POLSKI KRAWIEC

wykonuje ubrania cywilne i mundury wojskowe oraz damskie kostiumy po cenach umiarkowanych. Poprawki i przeróbki. Specjalista w cerowaniu bez śladu wypalonych dziur i rozdarcia materiału.

M. FOX, 31a, Buckingham Palace Road, S.W.1. Wejście obok Hotelu Rubens.

Tel.: VICTORIA 8241.

CLIFTON HOTEL

47a, Welbeck Street, W.1

Telefon: WELbeck 6881.

Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.20 tygodniowo albo od 7/6 dziennie

Punkt zborny dla Polaków z prowincji

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej. Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.3. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

MASZYNY DO PISANIA

Kupno, sprzedaż i zamiana. Klawiatury we wszystkich językach. Taśmy do maszyn i kalki. Reperacje wszelkiego rodzaju.

United Typewriter & Supply Co. Ltd
70, New Oxford St., London, W.C.

Phone: MUSum 0131-2